

Projekt finansuje



MIASTO  
STOŁECZNE  
WARSZAWA



**S**towarzyszenie  
**I**nterwencji  
**P**rawnej



*Zakochani  
w Warszawie*

# Zakochani w Warszawie

Anna Chabiera  
Jacek Czajewski  
Ryszard Kowalski  
Urszula Gardocka Kubicka  
Barbara Maria Łuczak  
Sławomir Okoń  
Edward Piega  
Jacek Ślizowski  
Anna Wach  
Lucyna Zbucka

pod redakcją  
Małgorzaty Łojkowskiej i Małgorzaty Olszewskiej

Redakcja: Małgorzata Łojkowska, Małgorzata Olszewska  
Projekt okładki: Anna Moderska

Wszelkie skróty pochodzą od redakcji.

Publikacja powstała w ramach projektu „Seniorzy – klawiaturą i piórem” współfinansowanego przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy.

Projekt współfinansuje



MIASTO  
STOŁECZNE  
WARSZAWA



**S**towarzyszenie  
**I**nterwencji  
**P**rawnej

ISBN: 978-83-60720-11-0

Wydanie I, Warszawa 2011

Wydawca:

Stowarzyszenie Interwencji Prawnej  
Al. 3 Maja 12 lok. 510  
00-391 Warszawa  
tel./fax 22 621 51 65  
e-mail: [biuro@interwencjaprawna.pl](mailto:biuro@interwencjaprawna.pl)  
[www.interwencjaprawna.pl](http://www.interwencjaprawna.pl)

Realizacja:

Ośrodek Wydawniczo-Poligraficzny „SIM”  
ul. Emilii Plater 9/11  
Tel. 22 629 80 38  
e-mail: [owpsim@post.pl](mailto:owpsim@post.pl)

Szanowni Państwo!

Publikacja, którą mają Państwo przed sobą, zawiera prace zwycięzców konkursu literackiego „Zakochani w Warszawie”. Zorganizowany on został przez Stowarzyszenie Interwencji Prawnej i był częścią projektu „Seniorzy – klawiaturą i piórem”. Na konkurs przysłano 37 wspaniałych prac. Dzięki nim mogliśmy – członkinie jury: Sylwia Chutnik (pisarka), Małgorzata Olszewska (dziennikarka) i Małgorzata Łojkowska (koordynatorka projektu) – przenieść się na kilka chwil do dawnej Warszawy, lepiej poznać jej przeszłość, a dzięki temu, zrozumieć teraźniejszość. Spotkałyśmy też na łamach Państwa opowiadań wielu wspaniałych, silnych, odważnych i kochających ludzi. Śmiałyśmy się i smuciłyśmy. Mogłyśmy też podziwiać prawdziwie warszawski humor i fason. Bardzo dziękujemy wszystkim bez wyjątku Autorom i Autorkom, którzy przesłali swoje prace na konkurs. Wszystkie były wspaniałe. Dostarczyli nam Państwo niezwykłych wzruszeń!

### **Laureaci**

Jacek Czajewski, *Co widziałem przez mur warszawskiego getta*

Jacek Ślizowski, *Zakochani w Warszawie*

Urszula Gardocka Kubicka, *Wszystkie drogi prowadzą do Warszawy*

### **Prace wyróżnione**

Anna Chabiera, *Warszawski kierowca, czyli kobieta i samochód*

Ryszard Kowalski, *Powstańcza reduta*

Barbara Maria Łuczak, *Warszawska bocznicą kolejową 1943*

Sławomir Okoń, *Moja droga do Warszawy*

Edward Piega, *Pestki palone, pestki, pestki...*

Anna Wach, *Dolinka – 35 lat w dobrym miejscu*

Lucyna Zbucka, *Jedna z tak już niewielu...*

## CO WIDZIAŁEM PRZEZ MUR WARSZAWSKIEGO GETTA

Niemcy wkrótce po wkroczeniu do Warszawy zabrali się do organizowania getta dla ludności żydowskiej. Dom przy ulicy Leszno 57 (obecnie aleja Solidarności), w którym mieszkaliśmy, też miał się znaleźć w getcie, więc musieliśmy się przeprowadzić. Zanim to nastąpiło, miało miejsce następujące zdarzenie. Późnym wieczorem, już po zamknięciu bramy, zajechał przed dom samochód osobowy z oficerami Gestapo oraz przykryta plandeką ciężarówka z ławkami, przystosowana do przewozu ludzi, zwana później potocznie budą. Niemcy, w zwykły dla siebie sposób, poczęli gwałtownie dobijać się do bramy, budząc wszystkich mieszkańców. Gdy dozorca otworzył bramę, wpadli do środka, kierując się ku oficynom zamieszkiwanym w większości przez ludność żydowską. Po chwili wyprowadzili stamtąd młodego, około dwudziestoletniego, lamentującego chłopaka. Ten, zanim go wrzucono do budy, zobaczył mego ojca stojącego na frontowym balkonie i krzyknął: „Panie mecenasie, niech pan powie mojemu tacie, że jestem niewinny, nic nie zrobiłem, niech mnie wykupi!”. Ale już nazajutrz rano, zanim mój i jego ojciec zdolali cokolwiek postanowić w tej sprawie, młody człowiek powrócił do domu w mundurze żydowskiego policjanta.

Wkrótce potem getto stało się faktem. Ogrodzono je drewnianym płotem, a my musieliśmy się wyprowadzić. Nawiasem mówiąc, ta przeprowadzka uratowała nam życie, bo podczas jednego z alianckich nalotów w nasz dom trafiła bomba i pozostał po nim tylko stos gruzów. Tak się złożyło, że na podwórko domu, do którego się przenieśliśmy, też spadła półtonowa bomba, ale na szczęście nie wybuchła. Zanim ją zabrano, leżała przez kilka godzin, oglądana z zainteresowaniem przez dzieci i dorosłych.

Memu ojcu, prowadzącemu kancelarię prawną, zależało na tym, by znajdowała się ona jak najbliżej Gmachu Sądów, bo łatwiej trafiała do niej nieliczna w czasie wojny klientela. Dlatego wynajął lokal na biuro w oficynie budynku przy ulicy Chłodnej 2, a mieszkanie we frontowej jego części. Gmach sądu leżał na granicy getta oraz aryjskiej części miasta i obsługiwał obie społeczności: polską i żydowską. Wnętrze budowli było poprzdzielane, przejść między obiema częściami pilnowali polscy i żydowscy policjanci oraz niemieccy wartownicy. Mimo to dla mojego ojca, znającego doskonale ten budynek oraz mającego świetne kontakty z zatrudnionymi tam urzędnikami i woźnymi, przejście ze strony aryjskiej na żydowską i odwrotnie nie stanowiło żadnego problemu. Chodził więc do getta dość często, zabierając na dodatek mnie ze sobą. Odwiedzał znajomych, zanosił paczki żywnościowe, coś im załatwiał. Trwało to chyba około roku. Później zaostrzone kontrole, a dodatkowo zmiana układu getta przekreśliła możliwości tych kontaktów.

Niemal natychmiast po zorganizowaniu getta zgromadzonej w nim ludności zaczął zagładać głód w oczy. Po żywność na aryjską stronę wyprawiały się dzieci. Otaczający początkowo getto drewniany parkan stanowił stosunkowo łatwą do przebycia przeszkodę. Dorośli podsadzali dzieci, pomagając im wdrapać się na szczyt parkanu, skąd zeskakiwały lub zsuwały się po nim na aryjską stronę. Wracając, przerzucały wyżebraną żywność przez płot i

wspinały się na niego po szczeblach utworzonych z dłoni czekających na nich rodziców, którzy wysuwali ręce przez szpary między deskami. Później drewniany parkan zastąpiono wysokim ceglany murem z przytwierdzonymi betonem kawalkami szkła na szczycie. Przejście przez ten mur, zwłaszcza w drodze powrotnej, było dla dzieci niemożliwe. Pozostawała jedynie droga polegająca na przecisnięciu się przez niezamurowaną przestrzeń rynsztoka, pozostawioną dla swobodnego przepływu deszczówki. Tamtędy przedostać się mogły tylko najmniejsze, najmłodsze, kilkuletnie dzieci – moi rówieśnicy – i to tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu niemieckiego wartownika albo granatowego policjanta, lub gdy policjant był, ale „nie chciał widzieć”. Niemcom to się nie zdarzało.

Takich granatowych policjantów, którzy odwracali się tyłem i udawali, że nie widzą wymykających się z getta żydowskich dzieci, była zdecydowana większość. Ale pamiętam jednego, który był szczególnie zawzięty. Gdy nie udało mu się zapobiec przejściu żydowskiego dziecka na aryjską stronę i dzieciak mu uciekł, ganiał go, dzwoniąc nawet do mieszkań sąsiednich domów i pytając, czy czasem tam się nie schronił mały uciekinier. Wielokrotnie dobijał się też do naszego mieszkania, do którego prawie codziennie przychodziły żydowskie dzieci, bo wiedziały, że moja mama nigdy nie odprawi ich z pustymi rękami, choć i u nas się nie przelewało. Oczywiście, mówiliśmy, że nikogo nie było, a dzieciaki, które weszły frontowymi drzwiami, uciekały kuchennymi. Gdy Niemcom lub temu zawziętemu policjantowi udało się jednak złapać żydowskie dzieci, zabierali im worki z jedzeniem i wpuszczali z powrotem do getta przez rynsztokową dziurę w murze. Przeciśnięcie się przez nią nie było łatwe i trochę trwało, a przez cały ten czas maluchy były bite policyjną pałą.

Wkrótce zmieniono obszar getta, włączając do niego również domy ulicy Chłodnej, i znów trzeba było się wyprowadzić. Tym razem zamieszkaliśmy na ulicy Elektorальной, w nieistniejącym dziś budynku, który sąsadował z ówczesną i obecną placówką straży pożarnej. Z okien drugiego piętra mieliśmy widok na getto i włączony teraz w jego obszar dom przy ulicy Chłodnej 2, w którym znajdowało się nasze poprzednie mieszkanie. Wśród członków zajmującej je obecnie żydowskiej rodziny był chłopiec w moim wieku, z którym komunikowaliśmy się przez okna na migi, jednak te nasze kontakty ograniczały się do żartów bez żadnego poważnego znaczenia.

W czasie zastępowania drewnianego parkanu getta ceglany murem, po zdemontowaniu odcinka parkanu, a przed postawieniem muru, kawałek granicy pozostawał nieogrodzony. Pilnowali go niemieccy wartownicy. Jeden z pełniących tę służbę był znany z tego, że lubił sobie postrzelać do przechodzących, niczym nieosłoniętych na tym odcinku mieszkańców getta, i nie było dnia, by nie zabił przynajmniej jednej osoby.

Warszawskie getto składało się w tym czasie z dwóch części: dużego i małego getta. Duże obejmowało mniej więcej teren dzisiejszego Muranowa, a małe – obszar zajmowany obecnie przez Pałac Kultury i Nauki. Dzielila je ulica Chłodna, której jezdni była aryjska, a domy należały do obu części getta. Aby umożliwić komunikację wzdłuż łączącej je ulicy Żelaznej, na jej skrzyżowaniu z Chłodną ustawiono bramę. Jej skrzydła na przemian to zamykały przejazd ulicą Żelazną, umożliwiając komunikację wzdłuż ulicy Chłodnej, to zamykały Chłodną otwierając szlak komunikacyjny Żydom wzdłuż Żelaznej. Tego przejścia pilnowali Niemcy, granatowa polska policja oraz żydowscy policjanci. Tu też spotykaliśmy czasem tego żydowskiego policjanta –

sąsiada z domu przy ulicy Leszno 57. Wymienialiśmy z nim informacje typu: „Co słyhać?”, bo przekazywanie w tym miejscu jakichś listów czy paczek nie było możliwe ze względu na czujność Niemców. Dodatkowym ciągiem komunikacyjnym między obiema częściami getta był drewniany wiadukt przerzucony nad ulicą Chłodną niedaleko jej skrzyżowania z Żelazną. Tu bardzo często toczyły się rozmowy między Żydami wędrującymi wiaduktem a przechodzącymi pod nim mieszkańcami aryjskiej części Warszawy.

Później, po wywiezieniu dużej części mieszkańców getta do obozów koncentracyjnych, zlikwidowano małe getto oraz zmniejszono obszar dużego. Jego granicę przesunięto z ulicy Chłodnej na środek jezdni ulicy Leszno, czyli obecnej alei Solidarności. Gmach Sądów i południowa strona Leszna znów stały się aryjskie. Dążąc do umiejscowienia kancelarii prawnej ojca jak najbliżej Gmachu Sądów, przeprowadziliśmy się chyba w 1942 roku do sześciopokojowego mieszkania w przylegającym do gmachu od jego wschodniej strony budynku przy ulicy Leszno 51. Domyślaliśmy się, że mieszkanie wcześniej musiało należeć do bogatej rodziny. Drzwi frontowe były zaopatrzone w kilka zamków i podpierane stalową sztabą. Drzwi kuchenne dodatkowo okratowano. Podobno po wojnie zjawili się w tym lokalu jego byli właściciele lub ich spadkobiercy i po rozwaleniu pieca w stolowym pokoju wyciągnęli z niego pancerną kasetkę z kosztownościami. Ja natomiast, zaraz po naszym wprowadzeniu się, odziedziczyłem po nich porzuconą książkę Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Jak widać, była to polskojęzyczna rodzina.

W 1943 roku Niemcy przystąpili do likwidacji getta. Zaczęli od wyprowadzenia zamieszkujących je Żydów. Wzdłuż ulicy Leszno ciągnął, eskortowany przez uzbrojonych wartowników, tłum mężczyzn, kobiet, dzieci. Dźwigali walizki i tobołki z resztkami nędznego dobytku, jakie zdołali ze sobą unieść, nieświadomi, że nie będą im już potrzebne do dalszego życia, które miano im wkrótce odebrać w obozach koncentracyjnych. Patrzyliśmy na nich z okien naszego mieszkania, a moja mama w pewnej chwili zaczęła płakać. Zdziwiło to jedną z obecnych u nas sąsiadek, która wprawdzie współczuła Żydom, ale ich nie lubiła i reakcję mojej mamy uznała za przesadną. „Zobaczy pani, powiedziała mama, dziś oni, a jutro my”. Proroctwo to spełniło się rok później.

Następnym krokiem po wysiedleniu Żydów z getta było jego spalenie, rzecz jasna po wywiezieniu wszystkiego, co w nim pozostało, a mogło się jeszcze przydać Trzeciej Rzeszy. W owym czasie Sienkiewiczowskie „Quo vadis” nie było jeszcze znaną mi lekturą, ale dziś mogę powiedzieć, że widok palącej się dzielnicy przypominał obraz pożaru Rzymu oglądany później w filmach. W odległości kilkunastu metrów od naszego domu płonęła cała przeciwległa strona ulicy. Straż pożarna profilaktycznie polewała nasze domy wodą. Temperatura i tak bardzo upalnego dnia była tak wysoka, że zaokienny termometr o maksymalnym zakresie 40 czy 50 stopni C byłby eksplodował, gdyby ojciec go nie odkręcił i nie włożył do miednicy z wodą w łazience.

Zanim jeszcze pożar rozgorzał na dobre, z budynku naprzeciw naszego domu wyszła kilkudziesięcioosobowa grupa Żydów, którzy schowali się w ukrytym bunkrze i nie opuścili getta. Były wśród nich kobiety i dzieci. Żar i dym zmusiły ich do wyjścia. Niemcy wyprowadzili ich na ulicę przed budynkiem i zaczęli rewidować. Nagle jeden z Żydów wyciągnął pistolet i strzelił do

Niemców, nikogo nie trafiając. Natychmiast go zastrzelono, a żołnierze całą grupę zapędzili pod nierozwalony jeszcze w tym miejscu mur getta i rozstrzelali ze schmeisserów. Obserwowałem tę scenę z okien naszego mieszkania, przy czym nie widziałem rozstrzeliwanych, których zasłaniał mur getta, jedynie rozstrzeliwujących. Jednym z nich był szofer stojącej za murem ciężarówka. Robił to, choć nie musiał, ale wyszedł z szoferki, wyjął z kabury pistolet i strzelał, opierając się o maskę silnika.

Zaraz po tym wydarzeniu w sąsiednim budynku znaleziono następną ukrywającą się grupę ludzi. Tym razem Niemcy byli ostrożniejsi. Z budynku wyprowadzono tylko dwóch mężczyzn i zastrzelono, po czym wyprowadzono dwóch następnych. Ci na niemiecki rozkaz uchwycili ciała poprzedników za ręce i nogi, rozbujali i wrzucili przez nieistniejącą już wystawę do wnętrza płonącego sklepu. Następnie zastrzelono tych mężczyzn, wyprowadzono dwóch innych i historia się powtórzyła. Ile razy i czy były tam też kobiety i dzieci – nie wiem. Nie mogłem już na to patrzeć i odszedłem od okna. Kości spalonych ciał dawały świadectwo tej tragedii jeszcze przez wiele dni, a właściwie nocy: fosforyzowały w ciemnościach. Wydawało się również, że w ruinach wypalonego tzw. domu Nolfelda, stojącego naprzeciw naszych okien, ktoś przetrwał albo przynajmniej odwiedzał to miejsce nocą, bo od czasu do czasu mieliśmy wrażenie, że widzimy nagle światelko przemieszczające się wzdłuż zachowanych po pożarze stropów budynku.

Dom Nolfelda, którego ruiny stały naprzeciw naszych okien, zapamiętałem nie tylko w związku z tragedią spalania w jego gruzach ciał rozstrzeliwanych Żydów, ale też z powodu jeszcze jednego związanego z nim historycznego wydarzenia. W zimie 1944 roku (dokładnie 11 lutego) na metalowych prętach balustrady balkonów powieszono tam 27 więźniów Pawiaka. Egzekucja miała miejsce w nocy. Słyszeliśmy, że coś się dzieje, warkot samochodów, niemieckie nawoływania i komendy, ale niczego nie mogliśmy dostrzec. W okna skierowano światła silnych reflektorów i obawialiśmy się, że do wyglądających będą strzelać. Dopiero rano zobaczyliśmy wisielców. Stryczki z białego sznurka były przywiązane do żelaznych prętów dwóch balkonów pierwszego piętra. Na jednym wisiało trzynastu mężczyzn, na drugim czternastu. Dla mnie był to makabryczny widok. Nie mogłem patrzeć, chociaż nie pierwszy raz oglądałem ludzkie zwłoki. Widziałem przecież zmarłych z ran żołnierzy września w zamienionym na szpital Gmachu Sądów na Lesznie, dokąd zabierał mnie ojciec, widziałem zmarłą w 1943 roku babcię. Kiedyś, wysiadając z ojcem z tramwaju na ulicy Chłodnej, natknęliśmy się na zastrzelonego człowieka, który leżał na chodniku obok kościoła. W pobliżu nie było ani policji, ani Niemców, a ludzie mijali go, rzucając tylko spojrzenie na zwłoki i nie zatrzymując się. Nie wiem, czy był ofiarą przypadkowej strzelaniny, czy konfidentem zastrzelonym przez podziemie. Wstrząsający był dla mnie widok pokrywającej mu twarz skorupy skrzeplej krwi, która wyglądała jak czerwona maska. A jednak, mimo tych hartujących odporność doświadczeń widok powieszonych mnie przerażał. Poruszając się po mieszkaniu, gdzie okna trzech pokoi wychodziły na ulicę z zamordowanymi, starałem się nie przekraczać linii, z której widoczne były ciała. Gdy zbliżałem się do okien tak, że ukazywały mi się górne części stryczków, gwałtownie się wycofywałem. Zauważył to ojciec. Wziął mnie za rękę, doprowadził do okna i powiedział: „Nie bój się, synku! Patrz i zapamiętaj!”.

Zapamiętałem. Później już bez obawy obserwowałem, jak późnym popołudniem likwidowano to widowisko przeznaczone dla niepokornych mieszkańców miasta. Pod balkon podjechał konny wóz (lub dwa – tego nie jestem dziś pewien). Stojący na balkonie człowiek w

cywilnym ubraniu odwiązywał stryczki, pociągając za ich końce związane na kokardkę, jak sznurowadła butów, i opuszczał ciało w dół. Na ogół spadało prosto na podstawiony wóz, czasem jednak nie trafiało, wtedy podnoszono je z ziemi i wrzucano na pozostałe. Potem wozy odjechały. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, jak przebiegał proces wieszania. Obserwowała go mieszkająca na parterze naszego domu sąsiadka, której okno niezbyt starannie oświetlono. Zgodnie z jej relacją więźniów wyprowadzano kolejno z samochodu i wprowadzano na przystawioną do balkonu drabinę. Na balkonie stał kat z maską na twarzy, zakładał pętlę na szyję i przywiązywał stryczek do balkonu. Następnie odsuwano drabinę, przestawiano ją metr obok i wprowadzano następnego więźnia. Wedle słów sąsiadki skazańcy wchodzili na drabinę bez jakiegokolwiek próby oporu czy protestu. Odniosła wrażenie, że byli czymś odurzeni.

Przez cały dzień mieszkańcy Warszawy mogli bez przeszkód oglądać ten makabryczny, ale przeznaczony przecież dla nich widok, który miał ich przestraszyć i sterroryzować. Wzdłuż ulicy przechodziły tłumy, które też chciały to zapamiętać, ale nie wolno było się zatrzymywać. Zauważyłem, jak przejeżdżający dość szybko jezdnią rowerzysta sfotografował wisielców. Być może to przez niego wykonane zdjęcie można dziś oglądać w Internecie.

Wśród powieszonych był szesnastoletni czy siedemnastoletni chłopak – brat granatowego policjanta, którego znaleźliśmy dlatego, że przejął po nas mieszkanie na ulicy Elektoralnej. Chłopaka, który pewnie brał udział w konspiracji, zaaresztowano nie wcześniej niż trzy dni przed egzekucją, a może nawet w samą tę noc – dziś już dokładnie nie pamiętam. Wisiał w domowych bamboszach, bo przy zatrzymaniu nie pozwolono mu nawet założyć butów. Poszukujący go bezskutecznie brat na wieść o egzekucji przybiegł do nas i od razu poznał go przede wszystkim właśnie po tych kapciach. Twarz dostrzegł przez teatralną lornetkę moich rodziców. Wiem, że podczas powstania policjant ten walczył w powstańczych szeregach.

Pamiętam też miejsca dwóch innych egzekucji, a ściślej rozstrzelania Polaków na ulicach Warszawy. Nie byłem ich świadkiem, ale zaraz po usunięciu zwłok przechodziły tamtędy tłumy ludzi. Widać było jeszcze ślady krwi. Odważniejsi rzucali kwiaty. Mnie rodzice zabrali mnie ze sobą na miejsce rozstrzelań na ówczesnej ulicy Leszno oraz w Alejach Jerozolimskich przy Marszałkowskiej. Pamiętam, jak przechodnie mówili, że skazańcy mieli zagipsowane usta, by umierając, nie mogli krzyknąć „Jeszcze Polska nie zginęła!”, jak robiło to wielu w chwili śmierci.

## ZAKOCHANI W WARSZAWIE

W Warszawie w lecie 1939 roku ludzie obawiali się wojny. Rodzice przeprowadzili się ze Starego Miasta na Sadybę, na ulicę Zieloną, bo „na Sadybie nie będzie wojny”. Pierwszego września jednak wojna wybuchła! Na Sadybie też. Wyły samoloty, gwizdały bomby i trzęsła się ziemia. Miałem trzeci rok i pamiętam jeden epizod. Siedzieliśmy w piwnicy z obawy przed bombami. Ludzie modlili się półgłosem. Środkiem przechadzał się czarny kot z podniesionym ogonem – pokazywał, gdzie ma wojnę. Matka poleciała na górę po garnek. Świsnęła jej kulka, zgubiła garnek i tłukł się za nią po schodach – zdążyła uciec. Ludzie myśleli, że to bomba skacząca, dziwili się, że matka nawet nie jest ranna. Huknęło coś w sufit i lupnęło w ziemię. Kurz i piach w oczach i w buzi. Ludzie powtarzali: „Niewypał, niewypał!”. Jeden pan wybiegł na podwórze z okrzykiem: „Żyję, żyję!” – zaterkotało – i przestał. Jedna pani zaczęła płakać.

Niemcy od początku wprowadzili w Warszawie głód. Jeść się chciało i w dzień, i w nocy. Pod szafą wypatrzyłem piętękę chleba. Próbowałem ją dostać szczotką, trzepaczką, tłuczkiem, durszlakiem, wieszakiem, ale zaczęła się o gwóźdź w podłodze. Na drugi dzień znalazłem drut w ruinach sąsiedniego domu, zrobiłem z niego pogrzebacz i wydostałem piętękę. Mięsz miała zielony, ale od strony skórki była bardzo smaczna. Myślę, że to była piętka jeszcze przedwojenna. Któregoś dnia na worku z piaskiem do gaszenia pożarów od bomb leżała świeża kromka chleba, posmarowana grubo masłem i marmoladą, nawet nie ugryziona. Była wspaniała, ten smakolyk chyba zostawił Tadzio (folksdojcz), z którym nie wolno było się bawić. On wiedział, że chodzę głodny. Nieraz chciał, bym szedł do niego do domu, ale odmawiałem. Matka przykazywała: „Niech noga twoja tam nie postanie – to już są Niemcy”.

Ojca aresztowali Niemcy. Matka sprzedała pianino, bo nie miała pieniędzy. Mówiła, że nie może żyć bez muzyki, więc śpiewała piosenki. Bardzo lubiłem „Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal”. Nauczyła mnie kilku, np. „Malowany wózek, para siwych koni, pojedę daleko...”. Chodziliśmy na obiadki dla dzieci bez ojców do RGO (Rada Główna Opiekuńcza). Matka wsadzała mnie do okienka i tam za śpiewanki dostawałem dokładkę. Pamiętam tylko zupę z brukwi, chyba była codziennie, bo w końcu zacząłem ją zwracać. Pewnego razu za „Gdybym ja miała skrzydelka jak gąska” dostałem kawałek czekolady, którą lizałem, chowałem i znów lizałem przez dwa dni i dwie noce.

Niemiec patrolujący Warszawę strzelił nam w okno w chwili, gdy matka wyjrzała zobaczyć, co to za hałas na dole. Opowiadała całą wojnę, jak to kulka wleciała do szafy i przedziurawiła sukienki i futro. Szukałem tej kulki w szafie i w pudełkach z butami, i w kieszeniach, i za podszewkami ubrań, gdzie na pewno się schowała. Nigdzie kulki nie było. Znalazłem tylko metalowy szpic, ale nie było to ani okrągłe, ani srebrne, więc zostawiłem. O dwa lata starszy brat wujeczny Andrzej powiedział, że to weźmie i że to właśnie jest kulka. Potrzebował jej do gilzy, którą wyjął z kieszeni: „Tobie ona na nic, nie masz gilzy, a kulka bez gilzy nie wystrzeli”. Nie mogłem przeboleć, że tak głupio straciłem naszą kulkę.

Niemcy wprowadzili w Warszawie godzinę policyjną. Po tej godzinie na mieście dostawało się kulkę w łeb. Któregoś dnia wracaliśmy do domu i matka mówi: „Biegnijmy synku, bo nas godzina policyjna złapie!”. Oglądam się – wcale nas nie goni – a przed nami już nasza brama. Nagle ze środka ulicy wszedł na trotuar Niemiec i zagroził nam drogę. Drugi został na środku. (Oni zawsze chodzili środkiem – przy domach się bali.) Niemiec stanął przed nami, rozkraczył wielkie buty z cholewami i zaszczeakał: „Halt, ałswajs byte”. Spojrzałem do góry i zobaczyłem wielki brzuch, a na nim pas z kulkami. Świeciły jak klamki u drzwi. Mówię do matki, by go poprosiła o jedną. Ona na to potrząsnęła mnie za ucho i syknęła: „Ani słowa więcej, rozumiesz?”. Matka dała mu żółty kartonik z fioletowym jajem. Ustawił go do latarni, pogapił się, złożył kartonik i warknął: „Jawol, ajitła”, podniósł rękę i zszedł na środek ulicy. Nie mogłem odżałować, że nie zdobyłem świecącej kulki, ale kiedy zobaczyłem białą buzię matki, zamilkłem. Matka powiedziała potem: „Uniknęliśmy kulki w łeb”. Później się dowiedziałem, że miała lewy ałswajs, czyli legitymację jako dowód, że pracuje dla Niemców.

W Warszawie w 1941 roku nie było można przejść Nowym Światem na drugą stronę Alej Jerozolimskich, bo wciąż jechali Niemcy. Jechali i jechali na most Poniatowskiego – na wojnę. Byli ubrani na zielono i śpiewali: „Hajli Hajlu Hajla ha, ha, ha, ha, ha, ha...”. Łamałem sobie głowę, dlaczego oni tak się śmieją z Hajli i Hajła. Hajła znałem z bajki. Chodziliśmy do wujka Edka (brata matki) na Krakowskie Przedmieście, tam matka zostawiała mnie do zabawy z Wojtkiem, młodszym o dwa lata bratem wujecznym, albo zabierała Wojtka do nas. Wujek Edek miał pracę laboranta na uniwersytecie i tam mieszkał z rodziną. Któregoś dnia u nas na Zielonej byliśmy sami i miałem się opiekować bratem. Bawiliśmy się w chowanego, wsunąłem się za szafę z głową na płask. Przy wychodzeniu przekręciłem głowę i zakleszczyła się na mur. Zacząłem ryczeć, to Wojtek też. Sąsiedzi myśleli, że mordują dzieci, wylamali drzwi i odsunęli szafę.

Było potwornie zimno. Drzewo i węgiel do palenia można było dostać w Warszawie tylko za majątek. W mieszkaniu byłem w palcie, w czapce na uszy, szaliku i rękawiczkach. W kranach nie było wody, tylko lód. Woda była na podwórku w studni. Nie zamarzała, bo też była ubrana w palto, czapkę i jedną rękawiczkę na rączce do pompowania. Niemcy chcieli od Polaków ciepłe ubrania. Potrzebowali na front, dziwiłem się, że nie na tył. Mnie, jak było zimno, to z tyłu bardziej niż z frontu. Niemcy chodzili po domach z policjantem i zabierali ciepłe rzeczy. U nas też byli, ale wszystko, co ciepłe, mieliśmy na sobie – futro po kulce było w piwnicy. Policjant powiedział: „Biednej wdowie bez pracy zostawimy, co ma”. Dziwiłem się, że brali wszystkie kolory. Wypatrywałem potem kolorowych Niemców, ale wszyscy byli przeważnie poubierani na zielono. Czasami widziałem czarnych Niemców z czerwonymi opaskami z czarną swastyką na rękawie, jak wymachiwali ręką i krzyczeli „Aj itla!”. Widywałem jeszcze żółtych, też z opaską, którzy ciągle gdzieś się spieszyli, ale kolorowych nie było. Takie same czarne swastyki na czerwonych flagach powiewały zawsze w Alejach Jerozolimskich, na placu Trzech Krzyży, na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu. Z powodu zimna ludzie w nocy wycinali w parkach drzewa na opał. Matka zaczęła ciąć w dzień wielki kredens. Rąbała go tasakiem, od góry, po kawalku. Drewniakami z niego paliła w kuchni, żeby coś ugotować – aż został tylko dół.

Przyszła do nas szkolna koleżanka matki z dywanikiem zwiniętym w rurę i mówi: „Kwiczusia zachorowała i wracam od lekarza”. Położyła dywanik na podłodze, rozwinęła i fiknęła z niego prawdziwa różowiotka świnka. Popędziła do mnie z kwikiem, wzięła do mordki

mój palec i zaczęła mlaskać. Od razu się uciszyła. Musiałem jej dawać po kolei palce, żeby była cicho – mogła usłyszeć gospodyni, której matka nie płaciła za mieszkanie. W końcu matka powiedziała przyjaciółce: „Halina, ja się zawsze bardzo cieszę na twoje przyjście, ale bardzo proszę bez kwiczuś”. Halina obraziła się, zrolowała świnę i poszła. Matka powiedziała, że jest szalona – gdyby świnia kwiknęła na ulicy koło Niemca, to dostałaby kulkę w łeb. Pamiętając napis na kinie: „Tylko świnie siedzą w kinie”, zastanawiałem się, czy one siedzą na podłodze, czy na krzeselkach.

Nastał rok 1943. I znów w Warszawie nie można było przejść Nowym Światem, bo wciąż jechali Niemcy, tym razem w drugą stronę. Jechali i jechali z mostu Poniatowskiego – z wojny. Byli obdarci i ubrani na kolorowo – w te ubrania, co nam zabierali. Mieli pozawijane na szaro głowy, ręce i nogi. Nie mieli karabinów ani pasów z kulkami – przegrali na wojnie. Niektórzy jechali na platformach ciągniętych przez konie. Jechali i milczeli – żaden nie śmiał się już z Hajli i Hajla. Wujka Edka ciągle nie było w domu. Podobno chodził na szkolenie, nie mogłem tylko pojąć, do jakiej szkoły. Wiedziałem, że polskich szkół nie ma, a do niemieckiej nie może, bo nie umie po niemiecku. Później się dowiedziałem, że wujek należał do AK. Siostrę (moją matkę) wtajemniczył, a żonie (cioci Heni) nie powiedział – tylko się domyślała.

Chrzest miałem dopiero w wieku 5 lat. Chrzestnym był stryj i mówił, że będzie zastępował mi ojca. Chrzestną – ciocia Hela z Żoliborza. Na przyjęciu był rosół – pierwszy raz od wybuchu wojny. Ktoś przywiózł matce kogutka, tanio ze wsi, na kilka dni przed chrztem. Kogutkowi było źle i płakał cieniutko: „Mciaaap! Mciaaaap! Mciaaap!”. Żeby nikt nie usłyszał, że nam się powodzi, zamknęła go matka do „króla”, to jest do ubikacji. A tam kogutek dopiero rozdarł dziób. „MCIAAAP! MCIAAAP! MCIAAAP!” – lamentował. Bał się ciemności. Rozumiałem go, bo jak byłem sam po zmroku, a światła nie wolno było palić, to też bałem się w królu, a najbardziej szumu spuszczonej wody, i uciekałem czym prędzej pod koc. To „MCIAAAP!” usłyszała przez rury właścicielka i podała później matkę do sądu za niepłacenie czynszu. „Jak ją stać na gotowanie rosółków, to i stać na czynsz – struga biedną wdowę wojenną z dzieckiem, a kurami się zażera” – rozpowiadała. Ale matka wygrała. Polecony adwokat kazał jej powiedzieć, że ten kurczak był wypożyczony do zabawy dla dziecka, a nie do konsumpcji. Właścicielka twierdziła, że jak „MCIAAAP” ucichło, to go zarżnęli na rosół. Natomiast adwokat twierdził, że jak „MCIAAAP” ucichło, to go oddali, i miał na to świadków, w tym właściciela kogutka. W czasie wojny wszyscy pomagali matkom z dziećmi bez ojców.

Ludzie mówili tylko o getcie, w getcie, do getta, z getta. W Warszawie na ulicach już nie było Żydów, tylko w getcie. Przez getto, za wysokim murem z cegły, jeździliśmy tramwajem do cioci Heli na Żoliborz. Tramwaj zwalniał przed bramami, dzwonił i na stopnie wskakiwali Niemcy. Bramy otwierały się i zamykały. Szyby w tramwaju były zamalowane na granatowo z wydrapanymi dziurkami do patrzenia. Była zima. Dzieci, takie jak ja, leżały na gołych trotuarach. Dużo ludzi leżało pod murami w dziwnych pozach. Środkiem ulicy dreptali w obie strony smutni Żydzi z niebieskimi opaskami na rękawach. Nikt nie przystawał. Wyglądali, jakby nic nie mieli do roboty i nigdzie się nie spieszyli, odwrotnie niż wszyscy w Warszawie. Zobaczyłem też wóz konny ciągnięty przez ludzi. Na tym wozie leżała sarta połamanych, nieubranych modeli z wystaw sklepowych. Spojrzałem, jak byli bliżej, i ze zgrozą stwierdziłem, że to nie modele, ale

umarli goli ludzie. I ci pod murami, w dziwnych pozach, też byli martwi. Wiele dni ten obraz miałem przed oczami.

Stryj (brat ojca) pracował na terenie getta w fabryce Konrad Jarnuszkiewicz i s-ka, w której był inżynierem, współwłaścicielem i zarządzającym. Musieli produkować wyposażenie dla szpitali niemieckich. Kiedyś słyszałem, jak matka powiedziała: „Jak, nie daj Boże, Niemcy wykryją, to wszyscy dostaniecie kulkę w łeb albo do gazu”. Pomyślałem sobie, że na pewno stryj wolalby do gazu zamiast kulki, bo mąż gospodyni powtarzał: „Muszę już iść do gazu...”, a szedł z kijem zapalać latarnie gazowe na ulicy i wracał. Pewnego dnia stryj przyprowadził swojego przyjaciela, prosząc matkę o przenocowanie go przez trzy noce. Spał w kuchni na połowym łóżku i cały dzień nie odezwał się ani słowem. Właścicielka domu zapytała: „Czy przypadkiem u szanownej pani jakiś ci mojsze się nie panoszy?”. Matka poprosiła stryja, aby ten pan opuścił mieszkanie. Wyszedł z teczką pod pachą i nic nie powiedział. Już po wojnie dowiedziałem się, że to był Żyd przemycony z getta, a była za to kulka w łeb.

Na placu Trzech Krzyży zawsze czekaliśmy na tramwaj na Sadybę, który zjeżdżał Książęcą do Czerniakowskiej. Szczekaczka na słupie, jak tuba patefonu, zaczynała od: „Achtung, achtung”, później: „Uwaga, uwaga...”. Matka mówiła, żeby nie słuchać, bo to czekają Niemcy. Kiedyś tuba zagrała hymn Polski. Ulica zamarła – ludzie zdejmowali czapki. Potem szczekaczka przemówiła: „Uwaga, uwaga – tu Polska Zbrojna Walcząca. Nadajemy prawdziwe wiadomości z frontu. Niemcy zostali zmuszeni do wycofania się spod...”. Niemcy zaczęli strzelać do szczekaczki i ucihła. Matka złapała mnie za rękę i zaczęliśmy uciekać w dół Książęcą, do następnego przystanku. „Szybko synku, bo zaraz będzie łapanka” – wydyszała. Na drugi dzień na placu Trzech Krzyży już wisiała na grubym słupie lista z nazwiskami rozstrzelanych z łapanki – polskich bandytów. Matka bała się przystawać w takich miejscach, bo mogą być szpicle, co donoszą na ludzi. Pewnego razu pod słupem rozpoznała płaczącą koleżankę szkolną. Uściskała ją, a ona wyłkała: „Józka rozstrzelali”.

Któregoś dnia podszedł do mnie cwaniak i mówi: „Te! Majtek! (Byłem w majtkach powyżej kolan, a on poniżej i strugał waźniaka). Trzymaj słodzika i zatargaj piach na róg”. Dał mi cukierka i kubelek z piaskiem. Kubelek zanosłem. Matka za to nakrzyczała na mnie: „Niech Bóg broni więcej! Pod piaskiem była smoła do malowania na murach, chcesz kulkę w łeb?!”. Kulkę chciałem, ale nie w łeb. Tą smolą chłopaki malowali kotwice z literką P (wyzwolenie Polski) i różne napisy. Matka często powtarzała: „Nie wychodź synku na ulice, bo hitlerowcy cię złapią i przerobią na Niemca”. Zastanawiałem się, jak oni to robią? Od zamurowania getta dzieci żydowskie szmuglowały żywność zaszytą w ubrankach i Niemcy ich zabijali kulką z karabinu. Rewidowali również polskie dzieci, czy czegoś nie przenoszą – dlatego cukierek od cwaniaka zawiązałem w chusteczkę, żeby Niemcy nie znaleźli.

W 1943 roku w warszawskim getcie było powstanie. W dzień huczało i dymiło, w nocy dudniło i świeciło na czerwono. Mówili ludzie, że kamień na kamieniu nie pozostał, Niemcy wszystkich wymordowali lub wywieźli do obozów. Tramwaj do cici Heli nie jeździł, a kiedy zaczął, pojechaliliśmy. Szyby już nie były zamalowane. Nie było ani murów, ani bram, ani Niemców. Nie było ulic ani domów. Naokoło były tylko gruzy i osmolone kominy – jak okiem sięgnąć, pustynia. Kościół tylko stał nienaruszony, ale ludzie do niego nie szli. Była cisza. Nawet

tramwaj jechał jak na paluszkach. Przez całe getto przejeżdżaliśmy i nie było ani jednego człowieka, ani psa, ani kota, ani nawet ptaszka. Mówiono, że tylko szczury są pod gruzami i jedzą trupy. Cuchnęło. Ludzie płakali.

W roku 1944 w tramwajach było wesoło – Niemcy przegrywali. Opowiadano przy nich: „Jak daleko do Niepodległości? – Jeszcze tylko roczek”. Cwaniaki śpiewali ballady, patrząc Niemcom w oczy. Tę umiałem: „Siekiera, motyka, bimber, alas, przegra wojnę głupi malarz. Siekiera, motyka, gaz i prąd, już niedługo pójdą stąd”. (Znaczący Niemcy, a malarz to Hitler – mówiono, że był malarzem pokojowym).

Pierwszego sierpnia 1944 roku w Warszawie było ciepło. Przed południem poszliśmy do krawca po futro, miał poprawić, ale nawet nie tknął. Matka powiedziała, że bez futra nie wyjdzie. Wtedy krawiec otworzył drzwi do drugiego pokoju i pokazał polskie mundury. Powiedział, że przystawili mu pistolet do głowy i kazali uszyć na południe, bo dziś wybuchnie powstanie. Wpadliśmy do domu po jakieś rzeczy i pobiegliśmy do tramwaju. Na Powsińskiej przy cmentarzu tramwaj stanął, bo szli Niemcy. Ludzie razem z motorniczym po prostu przefrunęli przez mur cmentarza. Zostaliśmy sami. Niemcy szli dwoma szeregami, całą szerokością ulicy. Każdy miał rozpylacz nastawiony do strzału. Matka wzięła mnie za rękę i poszliśmy środkiem drogi na spotkanie Niemców. Szeregi się rozstały i przeszliśmy na drugą stronę. Kiedy się odwróciłem, jeden Niemiec oglądał się za spódniczką matki i odstał od szeregu. Dowódca podleciał do niego i kopnął go w tyłek blyszczącym butem z cholewą. Kopnięty krzyknął, a matka rzuciła się na ziemię i mnie pociągnęła. Długo nie wstawaliśmy, bo myśleliśmy, że chcą nas zastrzelić.

Wiele godzin szliśmy Powsińską, Czerniakowską, Książęcą, przez plac Trzech Krzyży i dalej Żurawią, Marszałkowską, Puławską, do ciuchci grójeckiej na Dworzec Południowy. Kilkanaście kilometrów. Nie mogłem iść, bardzo bolał mnie brzuch, później się okazało, że miałem pierwszy atak wyrostka robaczkowego. Chwilami matka mnie wlokła po bruku – tramwaje nie chodziły, niektóre były powywracane. Na ulicach było pusto – ludzie gapili się na nas z bram i z okien. Pewnie myśleli, że jesteśmy folksdojczami. Matka non stop powtarzała: „Jeszcze troszeczkę, synku, już niedługo, nie możemy tu zostać, bo nam poślą kulkę w łeb. Jest powstanie – Niemców wygonią”. Chociaż Niemców nienawidziłem, to trochę żalowałem, że ich wyganiają, bo to przecież ja miałem to zrobić. Matka powtarzała: „Kiedy ty synku dorośniesz, żeby Niemców wygonić?”. Na dworcu ciuchcia jeszcze stała i dymiała. Nie można było się wtłoczyć, ludzie siedzieli na dachach, jakoś nas wciągnęli do środka. Ktoś krzyczał: „Ustąpcie miejsca kobiecie z dzieckiem!”. Ludzie mówili, że Niemcy urządzili rzeź kolejarzy na stacji, nie ma maszynisty i dlatego stoimy. W końcu jakiś pasażer uruchomił lokomotywę. Jedni krzyczeli, że wywróci pociąg, inni, że niech jedzie, aby dalej od Warszawy. Warszawa już dymiała i huczała. Odjechaliśmy – widać było, że dworzec się pali. Jechaliśmy całą noc, zamiast dwie godziny. Rano na stacji w Mogielnicy czekali na nas znajomi. Powiedziano nam, że wszyscy ludzie na dworcu zostali wymordowani, a budynki doszczętnie spalone.

W roku 1945 Niemcy tak uciekali, że gubili kulki. Można było wyjąć kulkę z gilzy, obtłukując ją kamieniem na kamieniu, a proch podpalić. Robił tylko takie fuuch i blysk, i dym, i po wszystkim. Pachniało, aż kręciło w nosie, a czasami i w głowie. Całe naboje w ogniu strzelały kulka bez karabinu, jak się je położyło w ognisku. Matka przykazała: „Niech cię Bóg broni brać

mi kulkę do ręki – jak zobaczę u ciebie kulkę, to dostaniesz straszne lanie”, i ciągle sprawdzała kieszenie. A ja nosiłem kulki i proch w butach. Trzeba było tylko trzymać proch w jednym bucie, a kulkę w drugim, żeby nie było wybuchu.

Jak już Warszawa była wolna od Niemców, pojechaliśmy do domu zobaczyć, czy kolejce i rowerowi nic się nie stało. Schodów nie było po bombie, wchodziło się po drabinie. W mieszkaniu leżeli pokotem ludzie. Matka natarła na nich: „Co panowie tu robicie? To jest moje mieszkanie!”. Oni na to: „Tera je demokracja, tera je wszystko nasze”. „Proszę opuścić moje mieszkanie, bo pójde po policję”. „Widziałeś Franuś, sanacja w kapalusiu sie odnalazła”. Matka była w przedwojennym kapeluszu. „Policja jej się napomniała. Jak paniusa chce to kuchnia je wolna”. Poszliśmy na posterunek, ale nie było policji, tylko ORMO. „Panie ormisto”, zaczęła matka, a pan ORMO jej przerwał: „Nie ma już panów, tylko obywatele, obywatelko”. Następnie wytłumaczył, że w Warszawie nie ma mieszkań i że w każdym musi być po kilka rodzin. Wydał tylko zaświadczenie o zameldowaniu. Mieszkanie było оголоcone, dół kredensu szabrownicy spuścili z balkonu na linach, razem z kolejką. Rowerka też nie było, co stał na balkonie.

Opuściliśmy Warszawę, nie zostawiając naszego adresu. Mieszkaliśmy w Mogielnicy koło Grójca. Raz do roku na Wielkanoc przyjeżdżaliśmy do dziadka do Warszawy. Dziadek wrócił z wywózki na roboty, z Solingen w Niemczech. W pierwsze święto chłopaki wyszukiwali w gruzach niewypały i podpalali – chwilami było jak w wojnę. Były wypadki zranień, a nawet śmierci. Milicja zabraniała ruszać niewypałów, ale chłopaki chowali się po gruzach, a tam milicjanci nie wchodziłi. Odnalazł się mój ojciec, który powrócił z obozu koncentracyjnego z Mauthausen i z powodu nabytej tam gruźlicy pracował w sanatorium w Sokołowsku na Ziemiach Odzyskanych. Pojechaliśmy do ojca.

W 1955 roku po maturze w Wałbrzychu nie zdałem na Politechnikę Warszawską i mieszkałem przez rok u ciotki Heli w Alei 3 Maja. Jeździłem do pracy do Żyrardowa na budowę pierwszej oczyszczalni ścieków przemysłowych, a wieczorami chodziłem na kursy kreśleń technicznych. Rano przespiałem Żyrardów i budziłem się na torach postojowych w Skierniewicach.

W początku 1956 roku zmarł na zawał serca w Moskwie prezydent PRL Bolesław Bierut. Otwartą trumnę wystawiono w gmachu na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Światu, gdzie mieścił się Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – partii rządzącej. Postanowiłem to zobaczyć. Poradzono mi pójść o czwartej rano, bo nie będzie kolejki, wstałem za kwadrans czwarta. Z Nowego Światu od placu Trzech Krzyży wchodziła do KC od strony Alej kolejka ludzi, parami, bez zatrzymywania. Stałem i czekałem, aż wszyscy wejdą. Podeszedł milicjant i powiedział: „Obywatelu, tu nie wolno stać, idźcie na koniec kolejki”. Wybrałem drogę przeciwnie do ruchu czekających, przeszedłem Nowy Świat i ze zgrozą zobaczyłem, że kolejka ginie w dole na Książęcej. Przyspieszyłem w dół i przed Czerniakowską dogoniłem kolejkę idącą w odwrotną stronę. Co kilka kroków stali milicjanci w dwóch szpalerach, frontem do kolejek, pilnując, by wszyscy szli w parach i by nikt nie dochodził do czekających. Wyganiałi na koniec. Moja kolejka wciąż oddalała się od celu. Idąc wolnym krokiem, skręciliśmy w ulicę Solec, następnie Tamką pod górę do Nowego Światu i tu wreszcie wąż ludzi zakręcał i przesuwał się z powrotem Tamką, Solcem, Książęcą i Nowym Światem do KC. Doszedłem po czterech

godzinach. Przed otwartą trumną też nie wolno było się zatrzymywać. Twarz Bieruta wyglądała jak z wosku, cały był przykryty futrem i krótki – jak dziecko. Odniosłem wrażenie, że to nie jest prawdziwy Bierut. Krążył żart: pojechał w futerku, a wrócił w kuferku.

Dopiero w 1961 roku po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej powróciłem na stałe do Warszawy i pracowałem w Zakładach im. Ludwika Waryńskiego. W mojej fabryce miałem wypadek i chodziłem jakiś czas o kulach. W tym czasie MON awansował mnie na podporucznika (byłem po Studium Wojskowym) i powołał w kamasze na dwa lata, na tzw. Okresową Służbę Wojskową. Na miesiąc przed jej zakończeniem awansowano mnie na porucznika. Słynny warszawski targ Kercelek znalazłem tylko z opowiadań, byłem tam z matką za Niemców i chciałem go zobaczyć teraz. Na przedwojennym miejscu go nie było. Były za to tłumy po drugiej stronie ulicy i poszedłem tam, jeszcze w czasie okresówki, w mundurze. Jakiś szczerbaty lebiega przekładał w kółko trzy lusterka, kładąc je na odwrót na zielonym stoliku. Błyskał nimi, na jednym była nalepiona „goła babka”. Obserwując, wiedziałem, gdzie tę gołą kładzie – ona wygrywała, jeśli się ją odkryło. Ktoś usunął się przede mną i stałem bezpośrednio przed stolikiem. Ktoś inny zagadnął do mnie: „Pan porucznik zagra”. „Nie, dziękuję” – mówię i wycofuję się. Łapie mnie za rękaw i mówi: „Pan porucznik to ma szczęście, ja się na tym znam”. Wetknął mi 100 zł i mówi do lebiegi: „My z panem porucznikiem gramy razem”. Chciałem mu oddać, ale odsunął się dalej, więc rzuciłem pieniądze na stół. Lebiega pokręcił wolno lusterkami, błysnęła mi goła, którą położył z lewej strony. Ofiarodawca mówi: „Pan porucznik ma szczęście, to porucznik odkrywa”. Podniosłem, była. „Pan porucznik to ma ronćkie – wygłasza lebiega – wygrana jest podwójna stawka, ale graliście we dwóch, to należy wam się po górniku” i wręczył mi 100 zł z wizerunkiem górnika. Splunął na bok i zadeklamował: „Tu się grywa i wygrywa, jak zagramy, to wygramy, do stolyka zapraszamy. Pan porucznik nie gra z tym oszustem, tylko sam. Pan porucznik położy tu górnika”. Położyłem, w końcu nie mój. Poprzekładał, zakręcił, błysnął gołą i położył w środku. Odkrywam – i o zgrozo – puste jest lusterko. Głowę bym dał, że ją tu położył. „Tu się grywa i wygrywa... Do stolyka zapraszamy. Pan porucznik zagra jeszcze raz, pan Porucznik ma ścieście”. Wyciągam swoje 100 zł i kładę na stół. Poprzekładał, zakręcił, jakby zwolnił, błysnął gołą i położył z lewej strony. Odkrywam. No, nie do wiary – znowu puste lusterko. Chyba gołą schował w rękaw, odkrywam z prawej – jest goła. „No niee, siefuniu, tak nie można, odkrywamy tylko raz. Tu się grywa i wygrywa... Pan porucznik musi mieć ścieście, do trzech razy štuka”. Kładę następnego górnika. Odkrywam. Jasny gwint! Znowu puste lusterko! Postanowiłem się odegrać, przekonany, że to, co mi pokazuje, to tylko odbicie, czyli należy odkrywać nie to lusterko, które by się wydawało. Mimo tego genialnego odkrycia przegrywałem do ostatniej setki. Zostałem więc ja sam goły – jak święty turecki.

W roku 1968 zamieszkaliśmy z żoną w mrowiskowcu przy ulicy Grzybowskiej, niedaleko dawnej fabryki stryja. Byłem z matką u niego tuż po wojnie. Teraz fabryki nie było. W 1992 roku w Archiwum Akt Dawnych na Nowym Mieście znalazłem księgę wieczystą z zapisem zakupu działki pod zakład jeszcze z XIX wieku. Okazało się, że na terenie dawnej fabryki jest ulica Jana Pawła II i hotel Mercure. Wkrótce powieszono na ścianie hotelu tablicę o treści: „Na tym terenie w fabryce Konrada Jarnuszkiewicza w latach 1942–44 z inicjatywy porucznika AK Józefa Kaplera i 26 pracowników – żołnierzy AK istniała tajna wytwórnia pistoletów maszynowych polski sten”. Kiedy to czytam, przypominają mi się słowa matki: „Jak, nie daj Boże, Niemcy wykryją, to wszyscy dostaniecie kulę w łeb albo do gazu”, które teraz dopiero pojmuję.

Jestem warszawiakiem z dziada pradziada i mimo że Warszawa mnie nie rozpieszczała, nie zamienilibym JEJ na żadne inne miasto, a widziałem ich w życiu wiele. Warszawa zasługuje na podziw – powstała po wojnie z gruzów jak feniks z popiołów. Hitler wydał rozkaz, aby kamień na kamieniu po tym mieście nie pozostał. To była kara za dwa powstania w Warszawie. Hitlerowcy w mieszkalnych budynkach wznecali pożary miotaczami ognia, a urzędy wysadzali dynamitem – systematycznie, dom po domu. Miasto było zniszczone w 80 procentach. Stolica miała być przeniesiona do Łodzi i przez jakiś czas rzeczywiście tam była. Obowiązywało hasło: „Cały naród buduje swoją stolicę”. Warszawa do dziś się buduje, powiększa i pięknieje. Jestem dumny ze swojej Warszawy.

## WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO WARSZAWY

W marcu 1949 roku leżał jeszcze śnieg. Pamiętam, że dzień był słoneczny, bo blask wdzierał się do wagonu towarowego przez uchylone przesuwane drzwi, szpary w ścianach i małe okienka. W jedno z nich wetknięta była rura od okrągłego żelaznego piecyka na nóżkach. W garnku gotowały się kartofle. Pod ścianą stała przywiązana czarno-biała krowa. Pociąg stał na stacji Łomża. Na zasłanych sianem workach z kartoflami siedziała mała dziewczynka. To byłam ja, to jest moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Pamiętam, że krowa i piecyk się przewróciły, a białe kulki kartofli rozsypały się po czarnej podłodze. Nie wiedziałam, czego bardziej było mi żal: utraconych kartofli czy przewróconej biednej krowy. Plakałam. W wagon uderzyła lokomotywa, bo maszynista nie wiedział, że w środku są ludzie. Tak się zaczęła moja droga życiowa do z białostockiej wsi Świdry do nowego, lepszego świata, do Warszawy. W 1949 roku, cztery lata po wojnie, droga ta wiodła przez Wrocław. Sądzę, że już wtedy Los wiedział, iż mijana Warszawa jest moim przeznaczeniem.

Pociąg zmierzał do Wrocławia. Rodzice postanowili pojechać na Ziemie Odzyskane, ponieważ tamte tereny opuściła ludność niemiecka i wszystko było niczyje. Zajęliśmy dwupokojowe mieszkanie z dziurą w suficie. Żał mi było krowy, bo musiała stać na popekanych ceglach, którymi było zasypane podwórko. Sufit został naprawiony, a krowę sprzedano na wieś.

Lubiłam bawić się w ruinach. Zimą gruzy odgrywały rolę górów do zjeżdżania, na czym popadło i czym tylko się dało. Przez wysokie usypisko gruzów leżące w poprzek ulicy Nożowniczej wydeptano wąską ścieżkę na targ. Lubiłam tam chodzić. Gdy tę barykadę z gruzów usunięto, poczułam, że straciłam zamknięty, przytulny plac zabaw. To tak, jakby z pokoju zabrano jedną ścianę.

Rodzice często prowadzali mnie i o trzy lata starszego brata Jurka do kina na filmy dla dzieci. Obok otwarto kino Sygnał i zaproponowano pracę w nim mojej mamie. Spędziła tam ponad dwadzieścia lat. Od wielokrotnego oglądania kronik i polskich filmów zaczęło się moje zainteresowanie stolicą. Całe dzieciństwo i młodość spędziłam w kinie. Żadne miasto nie było tak często pokazywane jak podnoszona z gruzów Warszawa z budowanym Pałacem Kultury i Nauki. Marzyłam, żeby to zobaczyć na własne oczy. Dobry i mądry Los pomógł mi, pojechałam na szkolną wycieczkę do stolicy. Byłam za młoda na filozoficzne przemyślenia, dlaczego dzieje się tak, że realizuje się to, o czym pomyśle. Bardzo mnie to cieszyło, ale nie wiedziałam, że między moimi myślami a życiem jest jakiś związek. Sądzę, że właśnie podczas tej szkolnej wycieczki do Warszawy przychylny mi Los podjął decyzję, że kiedyś tu wrócę i to na zawsze.

Prawie już odbudowana stolica bardzo mi się podobała. Z ogromnym zachwytem odkrywałam miejsca znane mi z filmów, kronik oraz ilustracji. Chyba najmocniej ze wszystkich osób przeżywałam to, co oglądaliśmy. Byłam wtedy nastolatką. Pamiętam, że nocowaliśmy w Domu Turysty, moje łóżko stało przy oknie, miałam więc widok na Krakowskie Przedmieście i pomnik Mikołaja Kopernika. Największe wrażenie zrobił na mnie i koleżankach wyniosły Pałac Kultury i Nauki. Dla nas, nastolatków urodzonych po wojnie, był pięknym, okazałym symbolem stolicy. Był także punktem orientacyjnym podczas zwiedzania. W ten sposób myślałam aż do wstrząsających wizyt w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego dla ludzi, którzy przeżyli koszmar zawirowań politycznych, kiedy świat spływał krwią, Pałac był i nadal jest prezentem wyjątkowo bolesnym. To tak, jakby darczyńca pięknej broszki wbił ją w

ranę, którą sam wcześniej zadał. Chyba zadrwiono z udreńczonych obrońców Warszawy i ojczyzny. Mimo to wspaniały budynek Pałacu nigdy nie przestał mi się podobać. Lubię go i już. Na szczęście czas od kapitulacji tych, co nieproszeni weszli do naszego kraju, wątpliwego zwycięstwa Polski i od początku mojego życia jest pierwszym w Europie tak długim okresem bez wojny.

Dalsze kontakty z Warszawą umożliwiały mi wyjątkowe zdarzenia. Podobno nie ma przypadków, bo co ma być, to i tak będzie. Życie potwierdziło, że to prawda. W 1964 roku, po zdaniu pisemnej matury, miałam dwa tygodnie wolnego przed egzaminami ustnymi. Właśnie wtedy odwiedziła nas przebywająca w Polsce ciocia z Ameryki i poprosiła mnie, abym jej towarzyszyła w podróży turystycznej. Pragnęła zwiedzić Częstochowę i Warszawę. Zachwycona skorzystałam z okazji. Wróciłam na maturę ustną i świetnie ją zdałam. Los wiedział, jak bardzo pragnęłam być nauczycielką, więc pomógł mi i wyciągnęłam łatwy zestaw pytań.

W następnym roku, gdy już pracowałam, jadąc pociągiem, poznałam kogoś, kto mnie skontaktował ze Stowarzyszeniem Oświatowców. Zaproponowano mi pracę wychowawcy na kolonii letniej. Przed wakacjami zorganizowano szkolenie, które odbyło się w Warszawie. Przypadek, a raczej pomocny Los sprawił, że w zatłoczonym pociągu obok mnie stała osoba, która jechała w to samo miejsce. Dzięki temu łatwiej było mi trafić pod wskazany adres, bo przecież nie znałam miasta. Opiekun z pociągu stał się moim przewodnikiem po stolicy. Od dworca Warszawa Główna wędrowaliśmy Alejami Jerozolimskimi i Marszałkowską, jedliśmy w barze mlecznym przy placu Konstytucji. Mój towarzysz podróży był wyjątkowo sympatycznym chłopcem, a tę opinię potwierdziły kolonistki, które się w tym uroczym wychowawcy podkochiwały.

Po zakończeniu roku szkolnego znów wybrałam się do stolicy, ponieważ wyjazd na kolonie był zorganizowany dla dzieci z Warszawy. Pojechalśmy na piaszczyste tereny kieleckie i z powodu ogromnych ilości wszechobecnego piachu nazwaliśmy naszą kolonię Saharą. Po zakończeniu turnusu i oddaniu dzieci rodzicom czekającym w Warszawie miałam trochę czasu dla siebie. Ze szkolnej wycieczki pamiętałam spacer po wspaniałym Moście Poniatowskiego. Zrobił na mnie wrażenie jego ogrom. Wtedy z koleżankami spoglądałyśmy w dół i przysiadaliśmy na kamiennych ławkach. Pięć lat później robiłam to samo i patrzyłam w dal na połyskujące wody Wisły. Czułam się szczęśliwa. Mój Wrocław to miasto mostów, polska Wenecja, ale takiego okazałego jak warszawski Poniatowski nie ma.

Rozmarzona i zakochana w Warszawie wróciłam do Wrocławia. Przyjemność, jaką dawały mi podróże pociągami, została przez Los zwiększona tym, że wyszłam za maszynistę. Miałam bezpłatny bilet i dużo czasu, ponieważ w 1969 roku przebywałam na urlopie macierzyńskim. Właśnie wtedy ze Szwecji przyjechała krewna, która zaproponowała mi podróż do rodzinnych stron i kilkudniowy pobyt w Warszawie. Córeczkę Oleńkę zostawiłam pod opieką mamy i skorzystałam z okazji. Mieszkałyśmy, a właściwie tylko nocowałyśmy w Hotelu Bristol, bo całe dnie krążyłyśmy po mieście. Było to ponad czterdzieści lat temu. Gdy dziś jestem na Krakowskim Przedmieściu, z nostalgią patrzę w znane mi okno w Domu Turysty i w okno z pięknym balkonem z kutego żelaza w Bristolu.

Wszystkie drogi prowadziły mnie do Warszawy. Widocznie przychylny mi Los zrozumiał, jak bardzo mnie ciągnie do stolicy i sprawił, że zamieszkałam tam na stałe. Żeby mogła poznać kogoś, kto wywiezie mnie z Wrocławia do stolicy, musiałam znów stać się osobą wolną. Zostałam sama z dziećmi. Z ogromną radością oddałam się ukochanej pracy w szkole, działalności harcerskiej i wychowywaniu dwójki moich Oleńki i Mariuszka. I znów Los wziął sprawy w swoje ręce. Spotkałam przystojnego podporucznika. Mój nowy mąż dostał skierowanie do pracy w

Warszawie. Od 1977 roku stolica stała się moim drugim miastem rodzinnym. Dziwny spłot okoliczności sprawił, że zrezygnowałam z pracy i założyłam domowe miniprzedsiębiorstwo. Mieszkając w Warszawie, byłam oparciem i pomocą dla znajomych oraz dla mojej i drugiego męża rodziny. Dzięki goszczeniu u mnie mogli mieć wygodną przesiadkę na samolot lub uczestniczyć w wizycie papieża w Polsce. Obowiązkowym punktem programu dla moich gości była wizyta w teatrze i zwiedzanie wyjątkowo atrakcyjnych turystycznie miejsc. Mimo że Starówka we Wrocławiu jest niezwykła, to wiedziałam, że mama, córka i syn będą oczarowani warszawską. Dla mnie, dla męża i jego rodziny z Bielska-Białej też wszystko w Warszawie było nieznanne i zadziwiające. Stolicę po wojnie najszybciej podnoszono z gruzów. Widziałam stare ilustracje na wystawach w Zachęcie, muzeach czy w galeriach. Kulminacją było obejrzenie filmu „Miasto ruin”. Odbudowując Warszawę, dokonano niemożliwego.

Wędrując po stolicy, zatrzymywałam się przed tablicami pamiątkowymi w miejscach straceń. Zainteresowałam tym moje dzieci. W skupieniu odczytywaliśmy wstrząsające do głębi teksty na tablicach. W żadnym mieście w Polsce nie ma ich tyle co w Warszawie. W miarę nabierania doświadczenia życiowego uczyłam się odczytywać znaczenie sygnałów Losu. Niezwykłe przypadki mnie zadziwiali, przemawiały do mnie, a czasem mną wstrząsały. Wiele razy nie rozumiałam Losu i tego, co mi sugerował. Mimo że nie robiłam tego, czego ode mnie oczekiwał, to okreśną drogą i tak dochodziłam do tego, co się miało stać.

Wzbierała we mnie ogromna chęć do nauki. Chciałam iść na kurs języka obcego. Los sprawił, że znów stałam się wolną osobą. Mogłam się realizować i rozwijać swoje pasje. Stwierdziłam, że z wielu najważniejszych rzeczy w moim życiu najbardziej kocham wolność. Wstąpiłam na Uniwersytet Trzeciego Wieku, nauczyłam się języka angielskiego, wróciłam do malowania obrazów i wyszywania obrazów i makat. Od dawna o tym marzyłam.

Mieszkanie w Warszawie ułatwiło mi występy w telewizji. Jakby specjalnie dla mnie przeniesiono z Krakowa do stolicy nagrywanie „Randki w ciemno”. Zostałam wybrana spośród trzech pań. Los wiedział, że pragnę zobaczyć Londyn, więc taką wycieczkę wylosowaliśmy z partnerem. Wystąpiłam też w programie „Panie na planie” oraz tańczyłam w „Ciao Darwin”, w odcinku dotyczącym nauczycieli i uczniów. To wszystko umożliwiły mi wolność i Warszawa.

Mogłam z córką lub z synem zwiedzać świat. Oprócz Londynu zobaczyłam Paryż, Moskwę, Petersburg, Wiedeń, Pragę, Odessę, Kijów, Sofię, Warnę i wiele miejsc w kraju. Nagle przyszła mi ochota na powrót do pracy w szkole. Miałam za mało przepracowanych lat do emerytury, pomyślałam o nauczaniu języka angielskiego w szkole średniej. Los sprawę załatwił i nie szukając, dostałam propozycję pracy w technikum elektrotechnicznym. Ponieważ już wtedy dostrzegałam w swojej codzienności dziwne zrządzania Losu, odpowiedziałam na to wezwanie i zdecydowałam się uczyć w szkole średniej. Do tej pory pracowałam w podstawówkach. Był to akt odwagi, ale zawsze uważano mnie za osobę przebojową.

Zrealizowało się też moje skryte marzenie. Pragnęłam, żeby córka zamieszkała w Warszawie i była blisko mnie i mojego syna, jej brata. Ola ukończyła wtedy już Akademię Muzyczną we Wrocławiu, założyła rodzinę i urodziła córeczkę. Wnuczka otrzymała imię Paola. Zapoczątkowała ona nowe pokolenie w naszej rodzinie. Mojej mamy już nie było, bo zakończył się jej pobyt na ziemi. Zięć dostał propozycję pracy w Warszawie i przywiózł moją córkę i wnuczkę do stolicy.

Jestem zodiakalnym Lwem, więc gdy w sierpniu skończyłam pięćdziesiąt pięć lat, poczułam się nagle bardzo zmęczona moim aktywnym życiem zawodowym. Los zareagował natychmiast, otrzymałam świadczenie przedemerytalne. Już nigdzie się nie spieszyłam, upajałam

się błogim nicnierobieniem. Zaczęłam odkrywać Warszawę na nowo. Przywoływałam wspomnienia ze szkolnej wycieczki, gdy miałam szesnaście lat. Te pierwsze wrażenia i zachwyt pozostały we mnie na zawsze.

Zaczęłam traktować Warszawę jak turystka i takimi oczami na nią patrzyłam. Jeździłam w nieznanne mi miejsca, przez okna autobusów patrzyłam na górne części budynków, interesujące balkony, artystyczne gzymsy i koronkowe attyki. Czulałam się młoda, zadowolona i spełniona. To prawda, że każdy wiek ma swoje uroki, trzeba tylko je odkryć. Naiwny realizm mojej młodości nie mógł się równać ze swobodnym, rozumnym, wyciszonym wiekiem dojrzałym. Mogę teraz spędzać czas zgodnie z własnymi planami i impulsami. Robię to, co chcę, i to, co lubię, bo nic nie muszę, a wiele mogę.

Oglądając zdjęcia, zapragnęłam jeszcze raz zobaczyć te miejsca, które kilkanaście lat temu zwiedzałam w Londynie podczas randki w ciemno. Los sprawił, że odwiedziła mnie znajoma studentka farmacji i zaproponowała mi wspólny wyjazd do brytyjskiej stolicy. Basia jest jedyną osobą, która rozumiała to wszystko, co mnie w życiu spotkało, i kazała mi to spisać. W Londynie, po szaleńczym zwiedzaniu miasta, bezpłatnych galerii i muzeów, zrobieniu wielu zdjęć, zatęskniłam za Warszawą. Tęskniłam za wszystkim, nawet za hałaśliwym zbiegiem czterech ulic: Belwederskiej, Chelmskiej, Sobieskiego i Dolnej, widzianym z moich okien przy Trakcie Królewskim. Musiałam wrócić, dalszy pobyt w Londynie był ponad moje siły. Chciałam być razem z moimi najbliższymi w Polsce, w domu, w Warszawie.

Czasami miałam problem z odczytywaniem znaków dawanych mi przez Los, a sprawa była trudna. Nie wiedziałam, jaki ruch wykonać. Wtedy czekałam, bo wiedziałam, że przyjdzie taki moment, w którym otrzymam znak i wiedzę. Zauważyłam, że miotanie się i szukanie rozwiązań na siłę nie miało sensu. Los wiedział lepiej, niż ja byłam w stanie wykombinować. W trudnych sytuacjach pocieszałam się wielokrotnie sprawdzoną sentencją: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. To, co początkowo wydawało się dramatem, okazywało się potem radością, szczęściem i wybawieniem. Od dawna korzystam z mądrości zawartych w przysłowiach i aforyzmach, najtrafniejsze z nich wypisuję. Zbieram też złote myśli. Mój świat książek, obrazów, makatek, wycieczek, spacerów, pisania, uczenia się, doskonalenia języka angielskiego spowodował, że moje wycofanie robiło się coraz bardziej pociągające. Mam zawsze dużo do zrobienia i nie nudzę się we własnym towarzystwie.

Niestraszna mi żadna pogoda. Deszczowa jest romantyczna. Wycieczkowa, gdy jest rześko i słonecznie. W mieszkaniu otoczyłam się roślinami doniczkowymi, na środku pokoju jest zielona wyspa. Pozbyłam się uczucia marnowania czy zabijania czasu. Robię to, co mi pasuje, i to, co lubię. Jestem oparciem i pomocą dla córki, syna studenta i wnuczki, też już studentki, a jednocześnie dbam, żeby czas, jaki jest mi jeszcze pisany, był miły i interesujący. Warszawa daje wiele możliwości, bo tu się zawsze dzieje coś ciekawego.

Śledzę imprezy organizowane przez dzielnice i miasto, od lat uczestniczymy w nich wspólnie. Każdy z nas ma swoją Warszawę i patrzy na nią innymi oczami. Zwykle to ja odkrywam coś nowego i ciekawego i zachęcam do tego resztę wycieczki, czyli rodzinę. Ogromną atrakcją są dla nas występy w amfiteatrach na Woli i Bemowie oraz letnie koncerty w Łazienkach. Park Fontann ściągnął nas znów na wiecznie atrakcyjną Starówkę. Mamy nadzieję, że kiedyś dostaniemy się do Centrum Nauki Kopernik. Teraz w czasie samotnych wędrówek po mieście czytam informacje o sławnych ludziach. Tablice są umieszczone na budynkach, w których mieszkali. Interesują mnie też wiadomości o patronach ulic.

Kultura w Warszawie wychodzi do ludzi. Lubię uliczne, tematyczne wystawy zdjęć z

opisami. Nie do wszystkiego zachęcam innych, sama chodzę na spotkania dyskusyjne w ratuszach, kursy czy spotkania dla seniorów. Szerokie zainteresowania i nauka to siłownia dla umysłu nie tylko dla starszych. To naprawdę odmładza i podnosi poczucie własnej wartości.

Od dziecka żyłam we Wrocławiu, wśród napływowych ludzi z różnych stron. W domach koleżanek i sąsiadek zza Buga czy z poznańskiego jadłam nowe, nieznanne mi potrawy. Podczas podróży zagranicznych byłam otwarta na kulturę innych narodów. W Warszawie też mam szansę poszerzyć swoje horyzonty, obserwować świat i ludzi. Mogę przeżyć coś atrakcyjnego i ciekawego, bo tu są organizowane parady, manify, festiwale różnych kultur i wiele innych imprez.

Cieszę, że jestem tu i teraz. Wiem, i to mnie cieszy, że jeszcze dużo mi zostało do zobaczenia w moim mieście. Pełnia życie dla każdego i w każdym wieku co innego znaczy.

Dobrze się stało, że wszystkie moje życiowe drogi wiodły mnie do Warszawy.

## **„WARSZAWSKI KIEROWCA”, CZYLI KOBIETA I SAMOCHÓD**

W swoim dość długim życiu zwiedziłam dużo miejsc, sporo krajów, ale tylko w Warszawie czuję się jak w domu. Tu się urodziłam, tu żyli moi rodzice, mieszka mój syn z rodziną, wielu przyjaciół i znajomych. Warszawa to po prostu moje miasto i obojętne, co mówią o nim inni, ja akceptuję, chociaż nieraz też się na nie zżymam, wszystkie jego niedociągnięcia i mankamenty. Znajomych mam również w innych miejscowościach i często słyszałam ich narzekania, jak okropnie jeździ się po Warszawie. „Złe oznakowanie, kierowcy nie uważają na innych, a tutejsi taksówkarze to po prostu piraci drogowi!”. Nie mogłam tego zrozumieć, mnie jeździło się doskonale, a często po klótniach z mężem wsiadałam do samochodu, żeby uspokoić emocje. Mimo że wiele się zmieniło – Warszawa jest teraz świetnie oznakowana, ulice szersze i wygodniejsze – moi znajomi spoza stolicy w dalszym ciągu twierdzą, że trzeba być szalonym albo w desperacji, żeby jeździć tu autem i w dodatku to lubić. Z pewnością, mimo swojego dojrzałego wieku, jestem trochę szalona, ale widziałam również ruch uliczny w Indiach, Chinach, Peru i myślę, że przy tych krajach Warszawę można określić jako miasto w miarę normalne i cywilizowane. Może moje ponad trzydziestoletnie doświadczenie w tej dziedzinie też ma jakieś znaczenie, ale jedno jest pewne – lubię jeździć samochodem, a najbardziej po Warszawie.

Pewnego jesiennego pogodnego dnia jechałam z Woli na Targówek do mojej kochanej fryzjerki Halinki, która miała zrobić mnie na bóstwo na niedzielną uroczystość rodzinną. Byłam w bardzo dobrym nastroju, bo Skodę, którą kupiłam z drugiej ręki, po dwutygodniowym postoju uruchomiłam bez komplikacji. Z Młynarskiej skręciłam w Ostroroga, a później w Tatarską. Było wczesne południe, ulice prawie puste, jechałam wolno i podziwiałam kolorowe drzewa wystające ponad cmentarnymi murami. Potem skręciłam w Powązkowską i wreszcie Trasa Toruńska, dla mnie najlepsza droga w Warszawie. Z Woli do domu meblowego IKEA na Targówku można przejechać w osiem minut, już to sprawdziłam. Zajęłam, jak zwykle, środkowy pas, pozostałe są dla tych, co bardzo się spieszą. Patrzyłam na spokojną teraz Wisłę, okoliczne domy i innych użytkowników drogi. Oczywiście w błogim nastroju, bo jechałam swoim samochodem, w swoim mieście i do swojej przyjaciółki. W trakcie zmiany pasa, na wysokości ulicy Rembielińskiej, coś huknęło. Myślałam, że wjechałam na jakiś kamień, ale po chwili zapaliła się lampka akumulatora. Trochę się wystraszyłam, lecz auto jechało dalej, po postoju na światłach ruszyło bez żadnych komplikacji. Pomyślałam, że to bezpiecznik, dopiero po dłuższym zastanowieniu dotarło do mnie, że gdy nawala bezpiecznik, to coś się wylacza, a nie włącza.

Przeżyłam to pewnej zimy w innym samochodzie, kiedy jechałam w czasie zamieci z Warszawy do Lublina i prawie co dwadzieścia kilometrów wysiadały wycieraczki. Całe szczęście kupiłam wtedy duży zapas bezpieczników i udało mi się dotrzeć do celu. Nagabywani panowie na stacjach benzynowych kazali jechać do mechanika, a tymczasem okazało się, że jedna wycieraczka była lekko wygięta, zaczepiała o uszczelkę i zacinała się, niszcząc bezpiecznik. „Bezpiecznik to takie najprostsze samochodowe rozwiązanie” – westchnęłam, powracając do rzeczywistości.

Wspominając te tarapaty, jechałam dalej. Tak dotarłam na Krasnobrodzką. Zamknęłam samochód i oddałam się przyjemnościom związanym z poprawianiem urody, czyli nową fryzurą.

Potem była kawa, ciasteczka i po jakichś dwóch godzinach, a może więcej, z duszą na ramieniu zeszedłam do samochodu. Przyszło mi jeszcze do głowy, że może to klema spadła z akumulatora albo jakiś przewód się rozłączył. Dobrze pamiętałam sytuację z przewodem w moim pierwszym maluchu, jakieś trzydzieści lat wcześniej. Znajdował się on w bagażniku w pobliżu przedniej szyby, bo w maluchu wszystko było odwrotnie: bagażnik z przodu, a silnik z tyłu. Przewód rozłączał mi się często, bo zawsze pakowałam więcej, niż powinno się mieścić. Doszłam w końcu do takiej wprawy, że naprawiłam również auto mojej sąsiadki, za którą to usługę dostałam, trudne do zdobycia w tamtych czasach, ananasy w puszcze. Teraz też sprawdziłam klemy, przyjrzałam się innym częściom, ale nic nie odkryłam. Poszczególne elementy silnika w obudowach, prawie nie widać przewodów, dla takiego laika motoryzacyjnego jak ja to czarna magia. Przekręciłam jednak kluczyk i samochód zawarczał, ale lampka akumulatora ciągle się paliła. Byłam zdziwiona, że nie zaświeciła się taka skręcona sprężynka, jak zwykle przy uruchamianiu tego auta, ale uznałam, że tak widocznie musi być. Pomachałam Halince czekającej z mężem na balkonie i wypatrującej, czy na pewno ruszę, i udałam się w drogę powrotną do domu.

Troszkę się ochłodziło, więc ogrzewanie włączyłam na full, mimo to cały czas było mi zimno. Gdy opuszczałam rondo przy Łabiszyńskiej, zapalił się wskaźnik ABS, czyli hamulce. Postanowiłam zatem hamować biegami, cały czas dość szybko zmierzając w kierunku domu. W pewnym momencie, gdy przejechałam Wisłę, zaświeciła się lampka kierownicy. Nie bardzo wiedziałam, co to znaczy, ale zaraz zrozumiałam, zmieniając pas. Wysiadło wspomaganie kierownicy. Okropne! Jak ja kiedyś jeździłam tymi maluchami?

Musiałam użyć całej swojej siły, żeby skręcić choć trochę. W innych warunkach dojechałabym do zjazdu na Broniewskiego, a potem skręciłabym w Powązkowską i tą samą drogą co rano wróciłabym do domu. Trudności z kierownicą, a może i z hamulcami przekonały mnie, żeby nadal jechać prosto Trasą Toruńską, tym razem prawym pasem. Na wysokości objazdów związanych z budową trasy z Bemowa włączyła się czerwona lampka z dużym wykrzyknikiem, a po pewnym czasie auto zaczęło wydawać dziwne dźwięki, jakieś buczenie, trochę podobne do alarmu. Co się dzieje, czyżbym z nową fryzurą nie podobała się mojemu samochodowi? Przypomniałam sobie swój sposób działania, gdy jeszcze w PRL musiałam załatwiać badania techniczne swoich pojazdów. Punktów do tego typu badań było wtedy niewiele, a przed nimi zawsze kolejki. Panowie kierowcy pucowali z tej okazji samochody, dokręcali śrubki, a ja szłam do fryzjera, wkładałam mini, z rozbrajającym uśmiechem wysiadałam z auta i patrząc fachowcom głęboko w oczy, mówiłam: „Panowie, nie mam pojęcia o samochodach, ja umiem tylko jeździć. Proszę, zróbcie, co uważacie, ja się na wszystko zgadzam”.

Skutkowało rewelacyjnie. Przeważnie jako pierwsza z długiej kolejki wyjeżdżałam z wpisem w dowodzie rejestracyjnym, a nieraz nawet mi coś naprawili, całkiem gratis. Bo mężczyzna też człowiek. Gdy powiesz mu, że czegoś nie wiesz, że jesteś głupsza od niego, to on cię od razu lubi.

Teraz, jak widać, moja fryzura nic nie pomogła. Mój samochód pewnie w ogóle jej nie zauważył, a może chodziło o te trzydzieści lat różnicy? Auto wyło dalej, lampka z czerwonym wykrzyknikiem biła w oczy, a ja naprawdę się przestraszyłam. Uznając to za ostatnią deskę ratunku, zaczęłam się modlić, cały czas szybko, mimo tylu utrudnień, jadąc w kierunku domu. Prosiłam Boga, żeby pomógł mi dotrzeć tym wyjącem i świecącym różnymi lampkami samochodem jak najbliżej domu. Skręciłam z trasy w ulicę Czorsztyńską, znanym skrótem na Obozową, i zdążyłam jeszcze zauważyć przygasającą zielen parku Moczydło. Gdy wjechałam w

Magistracką, wyczułam, że samochód spowalnia. Wylączyłam ogrzewanie, które i tak już nie działało, zauważyłam, że lampka świateł bardzo przygasła, może już w ogóle się nie paliły. Cały czas się modląc, już w zwolnionym tempie dotarłam do mojej ulicy Młynarskiej. Kiedy dojeżdżałam do przystanku tramwajowego przy Długosza, wznosiłam modły do nieba, aby nic nie jechało i żebym nie musiała się zatrzymać. Zostałam wysłuchana, tramwaj się nie pojawił, ale za to wszystko wysiadło i silnik przestał pracować. Siłą rozpędu skręciłam w Długosza i tam rozkraczyłam się na środku ulicy. Nie mogłam zapalić świateł awaryjnych, bo nic nie działało, ale byłam wdzięczna Stwórcy, że dotarłam tak daleko, prawie do samego domu. Przechodzących panów poprosiłam o pomoc, aby metodą na pych, prawidłowo, przy krawężniku, zaparkować samochód. Po tych wszystkich manewrach znów wsiałam do auta, odetchnęłam głęboko i zaczęłam szukać telefonu do specjalisty. Po moim opisie ostatnich piętnastu minut stwierdził, że to z pewnością pasek klinowy, i dodał ponuro: „Powinna była pani od razu stanąć i zadzwonić do mnie. Pani wie, że w obrębie Warszawy przyjadę wszędzie. Pasek przy tej jeździe mógł się wkręcić do silnika, nie wiadomo, co pani tam narozrabiała”.

Teraz zaczęłam się denerwować. Pasek klinowy przeżyję, ale na nowy silnik mnie nie stać. Całe szczęście nie było tak źle, żadnych dodatkowych szkód nie spowodowałam, ale dało mi to do myślenia. Dlaczego nasi wspaniali panowie konstruktorzy, bo to na pewno są panowie, wymyślają ułatwienia dla samych siebie, bo dla nas, kobiet, cała ta elektronika na pewno ułatwieniem nie jest? Dlaczego nie zrobią czegoś tylko dla pań? Przecież są oddzielne damskie i męskie toalety, damscy i męscy fryzjerzy, dlaczego nie zaprojektować specjalnego damskiego samochodu? Tymczasem wszystkie są męskie, może tylko niektóre w kobiecych kolorach i wielkości, oczywiście w rozumieniu mężczyzn. Niech już zostanie elektronika, ale w chwili zapalenia się jakiejś dziwnej lampki niech jednocześnie popłynie z głośnika sympatyczny, uspokajający głos, który poinformuje, co teraz zrobić. Na konsoli powinien wyświetlić się adres najbliższego serwisu z aktualnym numerem telefonu, a co kilka minut kojący, może nawet męski głos powinien nas pocieszać: „Nic się nie stało, nie martw się, dasz sobie radę”.

Dla współczesnej elektroniki to przecież pestka. Piękna ta moja wizja, niewykluczone, że kiedyś się spełni. Nie wiem tylko, czy po moich przygodach samochodowych nie zdenerwowałoby mnie to jeszcze bardziej. Trochę nieprzewidzianych emocji też jest potrzebne. Cały czas byłam przecież w Warszawie, w swoim mieście, które znam od podszewki, i zachowywałam się jak warszawianka, czyli z odrobiną szaleństwa, ale i z wiarą, że tutaj nic złego mi się nie może stać.

Trochę adrenaliny nawet w wieku dojrzałym jest potrzebne, to przecież sól życia...

## POWSTAŃCZA REDUTA

Kiedy opuściłem wraz z rodzicami moją ulicę, skończyło się też moje dzieciństwo. Straciłem coś najcenniejszego. Bez troskę, przyjaciół i moją małą ojczyznę.

Jej nie można było nie kochać. Jawiła się bluszczem, dzikim winem, tajemniczością ogrodów, w których owoce przyciągały przepelniony pożądaniem wzrok, zapachem bzów i kwitnącego dzikiego wina oraz twarzami staruszków w oknach, którzy z uśmiechem i pobłażliwością obserwowali nasze wybryki. Zimą ulica nie milkła, choć barykadowała się zaspami przed nielicznymi nawet w lecie samochodami. Styłowe latarnie rozświetlały mrok, ale chyba tylko po to, by zawiany mieszkaniec nie rozbił sobie o nie głowy, wracając do domu o parę godzin za późno. Echo śniegu skrzypiącego pod butami słychać było na obu zakrętach. Akustyka była wspaniała. Krzyki domowych awantur rozbrzmiewały wyraźnie i właściwie nikt już nie reagował. Często odwiedzała naszą ulicę orkiestra podwórkowa. Przedwojenne szlagiery z Czerniakowskiej, pieśni powstańcze i „Czerwone maki na Monte Cassino” wycisnęły niejedną łzę z oczu starych warszawiaków. Bardzo chętnie zasilali kapelusz skrzypka zbierającego bilon.

Narożna budka z warzywami imć pani Kozłowskiej, oblegana przez klientów szczególnie w poniedziałek rano, serwowała lekarstwo dla skacowanych mieszkańców ulicy i pobliskiego osiedla. Ci ostatni przechodzili do Kozłowskiej przez dziurę w płocie. Tym lekarstwem był sok z kiszzonej kapusty, o którego smaku krążyły legendy. O dziwo, wyrozumiała pani Kozłowska nie brała ani grosza za ten specjał.

Zazwyczaj przed południem odwiedzali naszą ulicę handlarze, usługodawcy, fura z węglem ciągnięta przez potężnego ardena, który bez szacunku dla utwardzonej nawierzchni zostawiał ślad po swojej bytności. Jego „dar” nigdy nie był zmarnowany. Zapobiegliwi dozorczy zasilali nawozem swoje ogródki. Okrzyki „raki, raki, raki”, „jagod, jagod, jagod” rozbrzmiewały w sezonie, elektryzując co bardziej skrzętne gospodynie, które miast pracy poświęciły się rodzinie i dzieciom.

Moją ulicę można było podzielić na strefy intelektualne. Ktoś, kto przydzielał ocalałą po powstaniu masę mieszkaniową, miał na uwadze to, że profesor będzie się męczył, sąsiadując z krawcem alkoholikiem lub hydraulikiem bijącym regularnie swoją żonę. Tacy zazwyczaj mieli po kilkoro dzieci, które otrzymując „odpowiednie” wychowanie, próbowały być godnymi synami i córkami swoich ojca i matki. Zazwyczaj wcześniej dojrzewały. Dziewczęta z takich rodzin w dzieciństwie były płochliwe, ukrywały się przed światem, natomiast po staniu się kobietami bywały tylko gościem w domu lub traktowały go jak noclegownię. Ja miałem szczęście. Wychowywałem się w strefie profesorów, adwokatów, ale też wysoko postawionych ubeków.

Z tym obrazkiem ulicy Czeczota komponował się mój dom. Było go widać już od ulicy Odyńca. Schowany był za krzewem lilaka, który wypełniał maj cudownym zapachem. Lewą część budynku ukrywał do połowy krzew jaśminu, zasadzony przez mojego ojca. Skutecznie przejmował pałeczkę po lilaku, odurzając przechodniów i zmuszając wręcz do znalezienia źródła upojonej woni.

Mój dom miał jeszcze coś, co napawało mnie nieukrywaną dumą. Coś, co wzbudzało zazdrość kolegów. Na frontowej elewacji miał niezliczoną ilość śladów po kulach karabinowych. Musiał być obiektem wściekłych ataków niemieckich. Taki sam budynek po przeciwnej stronie

ulicy miał mniej szczęścia, został zniszczony przez goliata. Później w jego miejsce powstał nowy dom, który bardzo się różnił stylem od przedwojennych posesji. Doskonale rozumiałem znaczenie domów na zakręcie. One ryglowały wejście przeciwnika na moją ulicę. Broniły nie tylko jej, ale opанowanej przez powstańców enklawy mokotowskiej, aż do Woronicza.

Mój dom miał dość duży ogród z garażem. Na środku ogrodu dominował rozłożysty orzech włoski. Był moim wielkim sprzymierzeńcem i wyzwaniem zarazem. W okresie owocowania stawał się też powodem niesnasek i żalów mieszkańców naszego domu. Przede wszystkim wabił złodziejasków z sąsiedniego osiedla, ale także patologię z naszej ulicy. Ci ostatni, Jasiak, Sylwek i Buła, byli tak bezczelni, że nie bali się nawet pana Maciejewskiego, naszego emerytowanego mieszkańca, który chodził z gumowaną sprężyną w rękę i wygrażał się okupantom garażu, z którego rzucali kijami i robili wypadki po łup. Zresztą, kto by się odważył wejść im w drogę, skoro każdy z nich podobno miał już konflikt z prawem.

Czasami podejmowałem walkę, ale tylko z napastnikami z sąsiedniego blokowiska. Nasi to nasi, ale żeby obcy grabili nasze zbiory? Na to pozwolić nie mogłem. Walka była nierówna. Ich było zawsze trzech lub czterech, ja byłem sam. Maciejewski, widząc mizериę swojej interwencji, często odpuszczał złodziejaskom. Oni byli na górze, czyli na garażu, ja musiałem odierać atak z dołu. Walka toczyła się na kije, którymi obrzucali rozłożyste drzewo. Chwytałem „pocisk” z ziemi, pod gradem orzechów i odrzucałem, usiłując trafić agresorów. Ci byli przygotowani i „amunicji” mieli spory zapas. Każde wyjście na otwartą przestrzeń obarczone było dotkliwym ryzykiem zaliczenia trafienia w twarz lub w plecy. Leżący na ziemi plon wymagał ofensywy napastników, zmuszenia mnie do odwrotu, pozbierania orzechów i ucieczki z łupem na garaż. Na walkę wręcz nie miałem ochoty. Było ich trzech, czterech, a ja sam. Poza tym byli starsi. Pozbawiało mnie to szansy w bezpośredniej konfrontacji.

Uciekałem do domu przez balkon, na który prowadziły schodki. Nim skryłem się za szybą drzwi balkonowych, wykonywałem jeszcze akcje zaczepne. Doprowadzało to ich do pasji. Kilka razy próbowali dokonać szturm, ale zawsze udawało mi się uciec. Rozwścieczony napastnik dawał za wygraną, odchodząc. Wtedy pojawiałem się znowu w otwartym oknie, zlorzcząc szabrownikom. Odpowiadali rzutami kijów. Kiedyś jeden z nich trafił w szybę, która na szczęście tylko pękła. Zostałem za to nieźle zbesztany przez „sztab” w osobie ojca:

– No i po co bronileś orzechów? Ja za wstawienie tej szyby zapłacę tyle, że kupiłbym ci na straganie trzy razy więcej orzechów, niż oni ukradli.

Matka wtórowała:

– Ja ci zabraniam prowokować tych drani. Kto to był? Pewnie Jasiak i Buła?

Zaprzeczyłem gwałtownie:

– To te gnoje z osiedla! Naszym bym odpuścił!

– Bój się Boga, przecież to wykolejeńcy! Oni ci mogą zrobić krzywdę! Ani się waż z nimi zadzierać. Ja ich raz widziałam, jak stali w bramie i chlali wino, palili papierosy, a to jeszcze gnoje po trzynaście, piętnaście lat – powiedziała już do ojca.

Od tamtej pory udawałem, że ich nie widzę. Nie mogłem dopuścić, by czuli, że są bezkarni, że się poddałem.

Pewnego razu matka wysłała mnie po chleb. Ociągałem się, tłumacząc nawalem lekcji do odrabiania. Miałem złe przeczucia.

– Rysiu, ja nie mam ani kawałka. Zapomniałam kupić, jak wracałam z pracy. Zresztą nawet bym już nie udźwignęła. Zobacz, ile mam w tych siatach.

Po tych słowach zaczęła wyciągać zawartość swoich toreb. Była tam menażka z obiadem (matka nosiła obiady z kasyna dla mnie i ojca), wędlina owinięta w papier. Nagle matka zastygła:

– O nie! To skurczybyk. Nie, ja mu tego nie daruję.

Wyciągnęła z siatki dwukilowy odważnik.

Usiadła i zaczęła płakać.

– Myślałam, że mi się ręce urwą. Zastanawiałam się, co tak waży, ale w życiu bym nie pomyślała, że ktoś wpadł na taki głupi pomysł. A to robota magazyniera. Chciał się ze mną spotkać, a jak go pogoniłam, to mi włożył odważnik do torby. To cham! – złorzeczyła przez łzy.

– Daj pieniądze na te zakupy – poprosiłem, ujęty matki żalem.

Droga do sklepu była spokojna. Profilaktycznie przeszedłem na drugą stronę ulicy Odyńca, ale „blokery” nie było przy wejściu na osiedle. Do sklepu rzucono chyba jakiś towar, bo kolejka wypełniała całe wnętrze, wijąc się jak krocionóg. Kiedy już byłem trzeci albo czwarty, ktoś trącił mnie w bok.

– E, koleś, kup dwie paczki sportów i wino. Powiedz, że to dla ojca, to ci sprzeda.

Spojrzałem na zleceniodawcę. To był jeden z blokery. Nie najstarszy, ale bardzo aktywny w prześladowaniu naszych.

Wobec takiej bezczelności ogarnęło mnie wzburzenie. Odmówiłem natychmiast i kategorycznie:

– Co ty, wałęś o beton? Sam sobie kup. Jak postoisz tyle co ja, to ci się odechce pić i palić.

Odszedł, ale na odchodnym pogroził:

– Masz przechłapanie.

Kupiłem to, co matka kazała. Wyszedłem przed sklep. Przyspieszyłem kroku, by jak najszybciej wydostać się ze strefy zagrożenia. Nagle zza winkła Raławickiej banda czworga wyrosła jak spod ziemi.

– No co koleś, jesteś niecharakterny. Swoim nie chciałeś kupić szlugów? – zaintonował amator kupowania bez kolejki.

– Mama mi zabroniła kupować papierosy, a ja się mamy słucham – odparowałem.

– Mamy tu maminsynka – ciągnął blokery na oko najmłodszy. Wyraźnie chciał się wykazać, o czym świadczyła jego aktywność. – Zaraz ci pokażemy, kogo masz słuchać, cwelu.

– Zostaw go – usłyszałem głos zza pleców – zaraz się sfajda i będzie smród.

Prowadyr jakby się zastanawiał, co ma zrobić. Dał za wygraną, bo po chwili krzyknął:

– Pędź, frajerze, do mamusi, niech ci wytrze mleko pod nosem. A na naszym podwórku radzę się nie pokazywać, bo możesz tylko zarobić w dziób.

Ostrożnie, żeby nie sprowokować gwałtownym ruchem napastnika, powlokłem się w kierunku domu. Kiedy już byłem około 50 metrów od blokery, odwróciłem się i krzyknąłem:

– A ty się kretynie nie pokazuj u nas, bo łomot cię nie minie – ścisnąłem dłoń w pięść i przytknąłem do ust. Nie próbowali mnie gonić. Nie mieli żadnych szans. Wiedziałem jednak, że przyrzekli mi zemstę.

Było już ciemno, jedynie słabe światło stylowych latarni oświetlało przymy mokrego śniegu. Mrozu nie było, początek marca zwiastował roztopę. Nagle pod latarnią pojawił się Piotrek.

– Raz, dwa, Cisio.

Do latarni powoli zbliżał się zaklepany przyjaciel. Po chwili z mroku wychynął Wujo. Głosem, który zwiastował sensację, opowiedziałem im zdarzenie. Byli oburzeni. Przyrzekliśmy, że się

okrutnie zemścimy, reszta wieczoru upłynęła nam na obmyślaniu sposobu zemsty. Każdy plan jednak upadał z powodu zbyt małych sił.

– Te szkopy nam dawała – podsumował Wujó.

Po raz pierwszy pojawiło się w naszych szeregach określenie „szkopy”. Podchwyciliśmy je z entuzjazmem. Oczywiście, my staliśmy się w tym momencie „powstańcami”.

– Wujó ma rację, dolożą nam. Nas jest czterech. Na Mundka i Marka nie ma co liczyć. Nie ma ich nigdy, kiedy trzeba, a ojca się boją jak ognia. Za udział w walce mają pewny „dupochlast”, a i „ryjochlast” jest niewykluczony.

– Ja widziałem raz, jak ich wychlastał stary po ryju – oznajmił z zatroskaną miną Cisio.

– Czyli walka powstańcza wchodzi w rachubę. Musimy ich nękać i cofanko. Zmęczymy ich, ale walka będzie długotrwała.

Po zaakceptowaniu taktyki udaliśmy się do dziury w parkanie za budką Kozłowskiej. Przed nami blokowisko w całej swej okazałości stało otworem. Otworem dziury w płocie. Światło przed wejściami do klatek pozwalało jedynie rozpoznać sylwetki. Stali grupką przed środkową klatką, palili papierosy i gwizdali na przechodzące dziewczyny, odprowadzając je wzrokiem, póki speszona ofiara nie znikła im z oczu w drzwiach klatki schodowej.

– Słuchajcie, to musi być krótka akcja. Obrzucimy ich pigułami i w nogi. Do domu, bo jestem pewny, że nie odpuszczą. Będą się czaili, aż któregoś nie złapią. Musimy się przygotować. Lepimy kule, żeby mieć dużo amunicji.

Kiedy każdy miał około dwudziestu „granatów”, po komendzie: „Ognia!”, zaczęliśmy kanonadę. W pierwszej chwili wrogowie zbaranieli. Nie mogli zlokalizować kierunku ostrzału. Zupełnie nie spodziewali się gradobicia. Dwóch uciekło do klatki, pozostali trzej skoczyli za zasęp brudnego śniegu. Nagle usłyszałem:

– To te gnoje z Czeczota! Są za parkanem!

W naszym kierunku posypały się śnieżki. Na szczęście nie celowali dobrze i walili w parkan. Ten rozbijał kule na mniejsze kawałki, które nie wyrządzały nam żadnej szkody. Kiedy wyrzuciliśmy ostatnie piguły, odskoczyliśmy do tyłu, pośpiesznie pożegnaliśmy się i każdy pobiegł do swojego domu. Długo nie mogłem zasnąć. Myślałem, jacy dorośli są szczęśliwi. Nie muszą się martwić o bezpieczeństwo naszej ulicy, ogródków i owoców, które są tak wielką pokusą dla sąsiadów. Nie przejmują się obroną, taktyką i zagrożeniem utraty honoru.

Na drugi dzień około południa wracałem ze szkoły. Przy samej furtce dopadł mnie Wujó z siatką w dłoni.

– Rysiek, przechodziłem obok szkopów. Myślałem, że ich nie będzie. Ja ich też pewnie zaskoczyłem. Chyba będzie gorąco. Mają troje sanek i lepią kule śniegowe. Pewnie szykują się na nas. Pogonili mnie, a na tych butach mało się nie zabiłem. Na szczęście odpuścili.

Spojrzałem na jego nogi. Narciarzy ze skórzaną podeszwą to nie był but do chodzenia.

– O tej porze pewnie Cisia i Piotrka jeszcze nie ma. Musimy poczekać. Ty mieszkasz bliżej nich, to filuj przez okno. Jak ich zobaczysz, to pošlij im ostrzeżenie. Jest babka w domu? – zapytałem osieroczonego przyjaciela.

– Jest, ale teraz pewnie śpi.

– Można liczyć na ciebie w razie czego?

– Bez pudła – zapewnił Wujó.

– No to na razie do domu. Ja będę z okna obserwował przedpole. W razie czego zawiadomię cię od ogrodu.

Długo nic się nie działo. W południe ulica pełna zasp brudnego śniegu była jakby martwa. Nawet do Kozłowskiej ruch był niewielki, najczęściej od strony dziury w płocie, zza budki, wylaniał się klient lub klientka z nieprzyjaznego osiedla. Zaczęło mi być trochę niewygodnie, kiedy postanowiłem, że na chwilę opuszczę posterunek, kątem oka zauważyłem szarą postać z lewej strony. To był Ciś. Wysunąłem się aż poza parapet. Kolega dojrzał mnie również.

– Ciś, będzie chyba poważna rozprawa ze szkopami...

– Wiem, wiem. Wujó już mi wszystko powiedział. Wychodź! – nie pozwolił mi dokończyć.

– A gdzie jest Wujó?

– Już lepi kule – wskazał za siebie. – Wychodź, Piotrek też już jest.

W biegu założyłem kurtkę i z niezasnuowanymi butami wybiegłem na ulicę. Chłopaki pracowali ciężko. Na szczęście odwilż ułatwiała lepienie pocisków, które były wyjątkowo twarde. Przyłączyłem się do tej pracy. Kule układałem na przyzbie śniegu, przedtem ściałem jej wierzchołek. Spoglądałem od czasu do czasu w kierunku Odyńca, żeby nie było zaskoczenia. Nagle zobaczyłem przecinających jezdnię chłopaków przy końcu ulicy. Było ich chyba pięciu. Z lewej i z prawej strony, wzdłuż plotów, wkroczyli na nasze terytorium. Mignął mi przed oczami obrazek znany z książki do historii, hitlerowców usuwających polski szlaban na granicy. Pomyślałem: „Zaczęło się”. Było ich z dziewięciu. Ciągnęli ze sobą wozy amunicyjne w postaci sanek, każdy był wypełniony kulami śniegowymi. Przykucnęliśmy za przyzmi śniegu.

– Chłopaki, na mój znak obrzucamy ich gradem pocisków. Nie celujemy w głowę – objąłem dowództwo.

– Ja walę w bańkę. Jak dostanie, to po nim – obruszył się Wujó.

Nie skomentowałem tej niebezpiecznej deklaracji. „Aby tylko się nie dać”, pomyślałem.

Zbliźali się powoli, przystając co chwila. Rozglądali się wtedy na boki, by nie dać się zaskoczyć z boku. Nagle jedna grupa zbiła się w kupkę. Wyraźnie odbywali jakąś naradę. Po chwili oderwała się od nich dwójka zwiadowców, którzy trzymając w rękach po kuli, zaczęli posuwać się wzdłuż plotu w naszym kierunku. Reszta postanowiła czekać na rozwój wypadków. Dobrnęli do warzywniaka i pięć metrów za nim zatrzymali się bezradnie. Nie mieli odwagi pójść dalej, bojąc się, że mogą zostać odcięci od dziury w płocie, a tym samym utracić możliwość ucieczki. To trwało kilka sekund. Postanowiłem poderwać chłopaków do boju.

– Chłopaki, bić szkop! – w okamgnieniu posłałem dwie kule jednemu ze zwiadowców.

Zaskoczenie było pełne. Stanęli jak wryci i nie zrobili żadnego ruchu. Byli doskonałym celem. Trzy kule trafiły napastników. Kiedy ochłonęli, rzucili się do ucieczki. Reszta, stojąca dużo dalej, też zaskoczona zaczęła się wycofywać. Zatrzymali się jednak w połowie drogi. Z bezpiecznej odległości liczyli, ilu nas jest. Kiedy zorientowali się, że o połowę mniej niż ich, dość bezradnie przypuścili szturm na nasze pozycje. Posypał się grad kul. Kiedy oberwałem jedną w głowę, aż mi się zrobiło ciemno w oczach i poczułem, jak rośnie guz. Skuliłem się za przyzmi, wyczekując przerwy w ostrzale. Uruchomili mózdzierze, rzucając kule w górę. Spadały na nas z nieba. Przed nimi nie było już gdzie się schronić, ale ich celność i skuteczność po trafieniu nie były wielkie. Poza tym miałem czapkę, jedynie Wujó chodził z gołą głową.

Nabrali odwagi. Poczuli się pewniej po tej akcji. Nie zauważywszy zagrożenia z boku ani zbyt dużej liczby obrońców, zaczęli się niebezpiecznie zbliżać do nas. Na moment zaprzestali ostrzału, licząc na większą skuteczność po zmniejszeniu dystansu.

– Chłopaki, brać po dwie kule w rękę i dwie do kieszeni i na mój znak szarża. Podbiegniemy, rzucamy i znów za przyzmi.

– Hurra! – wydarło się z naszych gardel.

Zaskoczeni byli wyraźnie. Część rzuciła się do tyłu, starsi jednak zostali i przyjęli atak, odpowiadając ogniem zlodowaciałych kul. Paru dostało w plecy, ale efekt ataku był żaden. Może nawet nam zaszkodził, bo mieli teraz pełne rozeznanie co do naszej liczebności. Ci starsi, gdy tylko wyrzucili piguły, ruszyli do ataku na pięści.

– Odwrót – zarządziłem. – Pędem po kule!

Wujo sięgnął po leżący śnieg, by ulepić nabój na miejscu, bez cofania się. Niestety, nieodpowiednie buty zawiodły go. Nie utrzymał równowagi i rozłożył się jak długi na mokrym śniegu. Dopadli go natychmiast, był bez szans wobec trzech rosłych nastolatków. Nacierali go brudnym śniegiem z pobliskiej przyzmy, wrzucali go też za koszulę i w spodnie. Wujo darł się jak zarzynany baran. Patrzyliśmy na to zza przyzmy bezradni.

– Cisiu, leć po Marka i Mundka. Muszą nam pomóc, bo padniemy! – krzyknąłem głosem rozpacz.

– Naiwny jesteś? Stary im zakazał wychodzić, aż nie wróci z pracy. A Marek pewnie rżnie na skrzypcach.

– Leć, powiedz, że biją naszych!

Po chwili Cisiu wrócił, machając wymownie ręką.

– Strzelił mi jeden kopytem w kinola – poinformował, kucając koło mnie. – Ja z tymi butami niewiele jestem wart.

– Weź, przyłóż śnieg na ten nos i odchyl głowę – poradziłem.

– Trzeba zawołać Bułę. Sami nie damy rady, a wiem, że jest w domu. Wychodził ze śmieciami, jak wracałem ze szkoły.

– On nie będzie chciał nas bronić. Zawsze mówił, że ze szczeniakami się nie zadaje.

– Ja pójdę. W tych butach gówno nie wojaczka. Może go przekonam.

– No to idź – poparłem pomysł, patrząc z troską na kolegę.

Szkopy nagle pochowali się za zaspami. Ruch łokci świadczył o intensywnym lepieniu kul śniegowych. Pojawiające się pośladki ujawniały poczynania – toczyli kule większego kalibru. A więc szykowali rozstrzygający atak. Pewnie widzieli, że zostało nas trzech. Nastąpiła chwila ciszy, która nie zwiastowała nic dobrego. Nagłe niepokojącą ciszę rozerwał okrzyk napastników. Opuścili ich obawy i przystąpili do frontalnego ataku. Prowadziło czterech najmłodszych z małą amunicją, za nimi pięciu z wytoczonymi kulami wielkości głowy bałwana. Pochowaliśmy się za zaspę, ale i tak Piotrek oberwał, aż jęknął. Poderwał się nagle i zaczął biec w kierunku domu. Wiedziałem już, że zostaliśmy we dwoje, ja i Ciś.

– Musimy się wycofać – krzyknąłem do przyjaciela. – Walimy do mojej klatki. Jest zamykana, to nas nie dopadną.

Spojrzałem na oddalającego się Piotrka z nieukrywanym żalem. Pewnie uderzenie go mocno zabolowało, bo chłopak nie należał do tchórzliwych. Nagle oniemiałem. Z bramy domu Wujka wyskoczyły dwie postaci. Krepą, masywną sylwetkę Buły rozpoznałem od razu. Za nim biegł filigranowy Wujo. Buła ślizgał się co chwila na mokrym śniegu. Biegł w skórzanych kapciach.

– Trzymajcie się, już lecę z odsieczą – usłyszałem jego głos. – Piotrek, nie łam się! Pogonimy to ścierwo aż pod Grójec – dodawał otuchy załamanemu koledze.

Blokersi zupełnie się nie spodziewali, że ktoś przyjdzie nam z pomocą. Kiedy się zorientowali, byli w odległości około dziesięciu metrów od nas. Stanęli jak wryci, ale z dużym trudem rzucili w nas dużymi kulami. Na szczęście ich rozmiar i waga były za duże na tę

odległość, bo żaden z pocisków do nas nie dotarł. Buła bez słowa zaczął lepić kule jedna po drugiej. Dopadł niewielkiego pagórka na samym zakręcie, gdzie rosła rozłożysta lipa, i wygrzebał spod śniegu kilka dużych kamieni z gruzowiska. Zobaczyłem, że starannie okleja je śniegiem.

– Buła, co ty robisz? – zapytałem z obawą.

– Inaczej nie damy rady, tylko bronią przeciwpancerną – rzucił z uśmiechem. Po chwili walil kulami w najeźdźców. Próbowali odpowiadać, ale nie podchodzili zbyt blisko. Buła kontynuował swoje dzieło. Nagle jedna z kul trafiła blokera z drugiej linii.

– O Jezul! – złapał się za głowę i upadł w śnieg.

Najbliższy niego podbiegł i krzyknął:

– Rozwalili mu leb! Kamieniami wał!

Zaczęli się niepewnie rozglądać za twardym materiałem. Wszystko było jednak przysypane śniegiem. Tylko miejscowi mogli wiedzieć, która przyzma kryje gruzy z remontów poranionych domów.

Uniknęliśmy kłęski.

– No wiara, udało się, ale nie radzę wam się zapuszczać na osiedle – ostrzegł po ojcowsku Buła.

– Jak by co, to wiecie, gdzie mnie szukać. Oni już tu nie przyjdą.

Byliśmy z siebie dumni. Byliśmy dumni z naszej ulicy. Rozpierała nas duma, że mamy tak solidarnych mieszkańców. Zrozumiałem, dlaczego rodzice z sentymentem wspominają stosunki międzyludzkie okresu okupacji. Poczulem, co to jest patriotyzm, choć to słowo nie było jeszcze nazbyt wzniosłym, patetycznym określeniem. Zrozumiałem, że każdy mieszkaniec mojej ulicy jest bardzo ważny i godny poświęceń. To właśnie wtedy słowo „Nasza” ukazało mi się świętością. Spojrzałem na moją willę z jeszcze większą dumą.

Pewnego dnia zaroilo się w ogródku naszej willi. Wśród oglądających rany naszego domu był generał z lampasami. Moja duma sięgnęła apogeum. Jakież bolesne było stwierdzenie ojca:

– Przyjdzie się stąd wynosić.

Odebrałem to jak zdradę. Historia lubi się powtarzać nawet w małym wydaniu.

Wróciłem po latach na moją ulicę. Dom miał nową elewację w kolorze kawy z mlekiem, która ukryła na zawsze ślady wojny. Orzech przeżywał okres agonii i przypominał raczej słup wysokiego napięcia niż rozłożyste drzewo, mimo że to był sierpień. Niefrasobliwi urbaniści pozwolili na budowę plomb o nijakiej architekturze. Można było zapomnieć o ogródkowych połączeniach w razie ewakuacji.

To nie była już moja ulica, choć tak bardzo udekorowana wspomnieniami.

## WARSZAWSKA BOCZNICA KOLEJOWA 1943

Krzyk. Rozpacz. Szczekanie psów i komendy niemieckie. Boże drogi, co tu się dzieje. Anna nie wie, nie pamięta, jakim przypadkiem znalazła się na tej boczniczy kolejowej.

Zaplombowane wagony. Takie jak do przewozu bydła. Z wewnątrz dziecięce głosy: „Wody! Jeść! Mamo, ratuj!”. Płacz niemowląt. Wokół stoją kobiety, wiele kobiet. Trzymają w rękach bańki z wodą, chleb. Ale tu nie ma litości. Niemieccy żołnierze twardo stoją na straży koszmarnych wagonów. Halt, halt, raus, niemieckie komendy, szczekają psy ułożone do agresji wobec ludzi. Boże, co robić, skąd te dzieci?

Ktoś się dowiedział, że to dzieci więzione z Zamojszczyzny. Niektóre z tych, co przeżyją, mają „szansę” na życie w Niemczech, na germanizację. Te, które nie będą odpowiadać germańskim kryteriom rasistowskim, pójdą na śmierć do obozów lub prosto do gazu.

Straszliwa rozpacz. Co robić? Anna stoi w tłumie rozpaczających kobiet. Nie ma własnego dziecka, kolejno dwoje jej zmarło. Co robić? Anna jest odważna, niektórzy wielką odwagę nazywają głupotą. Może tak jest rzeczywiście w pojęciu tych, którzy nie są w stanie opanować własnych lęków. Anna się nie boi. Ona czuje. Ona wie, że musi uratować dziecko. Jakieś. Czyjeś. Którekolwiek. Wie, że inaczej do końca życia będzie słyszała to straszliwe: „Mamo, ratuj!”. Zdeterminowana podchodzi bokiem do hitlerowskiego żołnierza. Nie zna niemieckiego, ale życie nauczyło ją posługiwania się międzynarodowym środkiem porozumienia. Wyjmuje „górala”, czyli przedwojenne 500 złotych, pokazuje wagony. Żołdak może ma nawet kawałek ludzkiego serca, a może potrzeby finansowe, podchodzi do wagonu i wyciąga niespełna roczne niemowlę w strasznym stanie. Ileż to już dni jest bez wody, bez jedzenia, bez matki. Anna chwytła dziecko. Nie wie, czy to chłopczyk, czy dziewczynka, wie tylko, że ma dziecko. Już jej, własne, zdobyte nawet większym bohaterstwem niż najcięższy poród. Pędzi do domu.

Warszawa pozyskała nowego mieszkańca.

## MOJA DROGA DO WARSZAWY

Urodziłem się na ziemi łęczyckiej w początkach czwartej dekady ubiegłego wieku w rodzinie nauczycielskiej. Rodzice traktowali swój zawód jako misję. Uważali się za szczęśliwców, że należą do pierwszej generacji młodych, którym los pozwolił nieść w lud, w wolnym już kraju, kaganek oświaty. Od najmłodszych lat słyszałem w domu nazwisko człowieka, który to umożliwił, wypędzając z Polski zaborców. Był nim Marszałek Józef Piłsudski. Mówili o nim nie tylko rodzice, ale również, od czasu do czasu, panowie i panie w ciemnym krążku zawieszonym pod sufitem w pokoju stołowym, który dorośli nazywali głośnikiem radiowym. Niewiele z tego rozumiałem, trzy rzeczy wiedziałem jednak na pewno: że to ktoś bardzo ważny, że mieszka w Warszawie i że pracuje dla Polski. O tym, że Warszawa jest stolicą naszego kraju, to znaczy największym i najważniejszym miastem, mówiła mi już Mama.

Pewnego majowego dnia z głośnika radiowego przysłała tragiczna wiadomość: Marszałek Piłsudski nie żyje! Wszyscy byli smutni, Mama płakała. W radiu nadawano ponurą muzykę, której wcześniej nie słyszałem, wielu panów coś mówiło bardzo poważnymi głosami. Następnego dnia Mama wzięła mnie z sobą do kościoła na mszę żałobną. Pośrodku stał duży stół a na nim zamknięta trumna. Ksiądz długo mówił o zmarłym, a jak skończył, poprosiłem Mamę, abyśmy podeszli bliżej, bo chcę zobaczyć Marszałka. Byłem bardzo rozczarowany, kiedy dowiedziałem się, że trumna jest symboliczna, a ciało Marszałka znajduje się w Warszawie. Znowu ta Warszawa – pomyślałem bez specjalnej sympatii dla tego dalekiego miasta.

Minęły niemal dokładnie cztery lata. Był 5 maja 1939 roku. Grałem z kolegami w piłkę obok domu, ale pamiętałem, że tego dnia radio nada ważne wystąpienie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka w sprawie niemieckiego ultimatum. Koniecznie chciałem go wysłuchać, polityką interesowałem się już od dawna. Kopiąc piłkę, pilnie nadsluchiwałem, kiedy zacznie się transmisja z Sejmu. Wreszcie jest. Spiker zapowiada przemówienie ministra. Rezygnuję z meczu, zaskoczeni chłopcy pukają się w czoło. Wracam do domu i chłonę słowa mówcy. Po zakończeniu wystąpienia owacja: brawa i głośne wyrazy akceptacji.

Tak, to było wstrząsające przemówienie. Od tego dnia minęły 72 lata, a ja najważniejsze fragmenty pamiętam do dziś. Sprawa jest jasna: nie zaakceptujemy niemieckich żądań. „Od Bałtyku odepchnąć się nie damy. Pokój jest bardzo ważny, ale nie bezcenny”. Jestem dumny z tego, co odpowiedział Niemcom polski minister o niemiecko brzmiącym nazwisku. A skąd popłynęły te słowa? Z Warszawy.

Kilka dni po rozpoczęciu wojny Ojciec, oficer rezerwy, wyruszył do stolicy, aby zasilić szeregi jej obrońców. Codziennie z przejęciem wsluchiwałem się z rodziną w komunikaty najpierw z frontu, a później, kiedy armia niemiecka podeszła do przedmieść miasta, w relacje z walk, oceny zniszczeń, liczby ofiar wśród wojska i ludności cywilnej. Szczególnie przejmujące były codzienne wystąpienia prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego. Wydawało nam się wówczas, że miasto leży w gruzach, a liczba ofiar jest ogromna. Drżeliśmy z bratem, czy wśród nich nie ma naszego Ojca. Nie mogliśmy wiedzieć, że Tata wróci cały i zdrowy ani tego, że zagłada miasta nastąpi dopiero w ostatnim roku wojny. Ojciec wrócił po kapitulacji Warszawy w pierwszych dniach października. Niewiele nam, dzieciom, mówił o swoich przeżyciach. Dziś rozumiem, że chronił nas przed stresem.

Minęło pięć lat. Mieszkaliśmy wówczas w Poznaniu, na wsi niedaleko Koła. Zbliżały się moje czternaste urodziny. Wkrótce miał się mną zainteresować niemiecki urząd pracy i „zapropnować” wyjazd na roboty do Rzeszy. Przewidując to, Mama załatwiła mi zajęcie u ogrodnika w sąsiedniej wsi, w Chelmie nad Nerem, gdzie hitlerowcy zorganizowali obóz zagłady głównie dla ludności żydowskiej z województw łódzkiego i poznańskiego. Gospodarstwo, w którym zostałem zatrudniony, miało szeroki profil produkcji. Częstymi klientami właściciela byli panowie w niemieckich mundurach – oprawcy z pobliskiego obozu. Wielu z nich pochodziło z Łodzi i dobrze mówiło po polsku. Zaopatrywali się u nas w owoce i pomidory, czasem kupowali kwiaty.

Był 2 sierpnia 1944 roku. Kiedy zobaczyliśmy wjeżdżający na podwórko motocykl z dwoma dobrze znanymi esesmanami, nic nie zapowiadało sensacji. Goście byli w doskonałych humorach. Roześmiani przywitali się z gospodarzem i przekazali mu na wstępie najnowszą wiadomość: „Wczoraj w Warszawie wybuchło powstanie”. To był szok. Pamiętam wszechogarniające uczucie dumy, że wreszcie stolica poderwała się do walki, a to pozwoli nie tylko przepędzić znienawidzonych okupantów, ale i zemścić się za upokarzającą porażkę września 1939 roku. I tylko gdzieś bardzo głęboko i na chwilę pojawiła się wątpliwość, czy tym razem na pewno się uda.

Późną wiosną 1947 roku prawie trzydziestoosobowa grupa abiturientów III klasy naszego gimnazjum wyjechała na długo oczekiwaną wycieczkę do Warszawy. Byliśmy przekonani, że dużo wiemy o sytuacji zniszczonego miasta. Nie na darmo pilnie śledziliśmy doniesienia prasowe oraz regularnie oglądaliśmy w kinach Polską Kronikę Filmową. Znalazłem gdzieś przedwojenny plan miasta i starałem się przewidzieć trasę zwiedzania. Trwająca dwie i pół godziny podróż nie należała do przyjemnych. Byliśmy podekscytowani i coraz mniej pewni, że to co zobaczymy, będzie choćby w małym stopniu odpowiadało temu, czego się spodziewamy.

Wczesnym rankiem pociąg dowiózł nas do stacji Warszawa Gdańska. Skromny barak nie zrobił większego wrażenia, tak jak i informacja, że drogę do Alej Jerozolimskich pokonamy pieszo. To było zrozumiałe, jak wycieczka, to wycieczka! Z owej „wycieczki” zapamiętałem tylko to, co zobaczyliśmy po dojściu do dzisiejszej ulicy Andersa: morze gruzów i ani jednego domu. Z prawej strony, kilkaset metrów od ulicy, majaczyła zgięta nieomal pod kątem prostym samotna latarnia. Była to dzielnica Muranów, teren byłego getta. Wszystko, co zobaczyliśmy później, potwierdzało tylko to pierwsze obezwładniające wrażenie.

W drodze powrotnej w przedziałach panowała cisza. Każdy z nas przeżywał tę narodową i osobistą klęskę w skupieniu. Bez słów. To właśnie wtedy zrodziło się we mnie przekonanie, które z latami się tylko pogłębiało, że decyzja o wybuchu powstania to był straszliwy błąd i nie ma takich argumentów, które mogłyby usprawiedliwić tych, którzy ją podjęli. Skazano na śmierć około 200 tysięcy mieszkańców stolicy, w tym kwiat patriotycznej młodzieży, zniszczono 84 procent mieszkaniowej substancji miasta.

Moja kolejna wizyta w Warszawie odbyła się w czerwcu 1950 roku. Ze świadectwem maturalnym w kieszeni zgłosiłem się na Uniwersytet Warszawski, aby zapisać się na wydział filologii angielskiej. Skierowano mnie najpierw na wstępną komisję kwalifikacyjną. Stałem przed obliczem kilkorga młodych ludzi w zielonych koszulach i czerwonych krawatach, którzy z uznaniem wypowiedzieli się o moim świadectwie, a krytycznie – o wybranym kierunku studiów. Namawiali mnie, abym raczej pomyślał o rusycystyce. Kiedy usłyszeli, że w szkole średniej miałem tylko łacinę i angielski, poradzili mi, abym wracał do Łodzi i tam kontynuował naukę. Po zasięgnięciu opinii rodziny ostatecznie podjąłem studia w nowo otwartej Wyższej Szkole

Ekonomicznej. Pięcioletni okres studiów oraz aktywna praca w charakterze członka Zarządu Uczelnianego Związku Studentów Polskich pochłonęły mnie bez reszty. Nie było okazji, aby sprawdzić na własne oczy, jak powraca do życia, zmienia się i pięknieje Warszawa. Częstkowe informacje przynosiła tylko prasa oraz niezawodna Polska Kronika Filmowa.

Dyplom magisterski obroniłem w czerwcu 1955 roku. Wiedziałem już wtedy, że zostałem zakwalifikowany, w charakterze tłumacza, do obsługi Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów i że obydwie wakacyjne miesiące spędzę w stolicy. Nie umiem dziś sobie przypomnieć, który z tych dwóch faktów sprawiał mi więcej radości. Za miesiąc zapowiadano otwarcie Pałacu Kultury i Nauki oraz Stadionu Dziesięciolecia. Cieszyłem się na myśl, że będę miał okazję zobaczyć wszystko to, co oddano do użytku w ostatnich latach, a co oglądałem tylko w publikacjach prasowych i na ekranie filmowym, a więc Trasę W-Z, plac Konstytucji oraz opiewany w popularnej piosence Mariensztat.

Po przyjeździe do Warszawy w początkach drugiej dekady lipca zostałem skierowany do kwatery przy ulicy Ogrodowej, gdzie w budynku ówczesnego Liceum Handlu Zagranicznego miały zostać rozlokowane delegacje kilku krajów Ameryki Południowej. Warszawa przygotowywała się do przyjęcia gości. Ulice ozdabiano proporczykami państw biorących udział w festiwalu, wieszano setki transparentów z tekstami powitalnymi w podstawowych językach świata, a także dzieła najwybitniejszych twórców polskiej szkoły plakatu o antywojennej tematyce. Miasto, na co dzień szare, rozbłysło wszystkimi kolorami tęczy. Wkrótce ulice zaroily się od różnokolorowej młodzieży przybyłej z wszystkich kontynentów. Było to pierwsze, nawet nie uchylenie, ale szerokie otwarcie drzwi na świat. Do Warszawy zjechało ponad 26 tysięcy osób ze 116 państw. Mieszkańcy stolicy z wielkim zainteresowaniem, a często zdumieniem reagowali na gości. Szczególną sensację wywoływały delegacje z krajów Afryki i Azji. Warszawiacy z wielką serdecznością odnosili się do uczestników festiwalu, próbowali nawiązywać rozmowy, wymieniali się adresami, masowo zapraszali do domów. Żelazna kurtyna zaczynała rdzewieć. Historycy uważają, że atmosfera przyjaźni, swobody i luzu, jaka panowała w dniach festiwalu, utrzymała się i po jego zakończeniu, co z kolei doprowadziło do zmian, których zwieńczeniem był Październik 1956.

W kilka tygodni po zakończeniu festiwalu wyjechałem do Moskwy na studia doktoranckie w Uniwersytecie im. Łomonosowa. W drugim roku mojego pobytu w ZSRR z kraju zaczęły dochodzić informacje o zaostrzającej się atmosferze politycznej i niepokojach społecznych zwiastujących zmiany. Zbliżał się przełom październikowy. Również dla nas, studentów i doktorantów przebywających poza krajem, były to gorące i pełne emocji dni. Wieczorami w akademikach zbieraliśmy się wokół radioodbiorników i najczęściej z wypiekami na twarzy słuchaliśmy informacji płynących z Warszawy, a dotyczących aktualnej sytuacji i zapowiedzi jej rozwoju. Wyczuwało się, że ważne decyzje to tylko kwestia czasu. I wreszcie są. Odsunięty Władysław Gomułka wraca do władzy. Nie godzi się na naciski „Wielkiego Brata”, rezygnuje z doradców radzieckich, proponuje istotne zmiany w dotychczasowej polityce wewnętrznej, w tym odrzucenie kolektywizacji wsi, rehabilitację niesłusznie uwięzionych, dopuszcza decentralizację organizacji młodzieżowych, zapowiada podjęcie rozmów z Kościołem. Wiec na placu przed Pałacem Kultury i Nauki gromadzi kilkaset tysięcy ludzi. W tych dniach Gomułka jest bohaterem narodowym.

Wiosną 1957 roku zjawiała się w Moskwie rządowo-partyjna delegacja z Polski pod przewodnictwem premiera Józefa Cyrankiewicza. Jej członkowie wyrazili zainteresowanie spotkaniem z polską młodzieżą studiującą na moskiewskich uczelniach. Na spotkaniu, wśród

kilku raczej bezbarwnych i szampowych wystąpień gości, najbardziej konkretne było przemówienie I Sekretarza PZPR z Łodzi Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej. Pani Sekretarz zwróciła się do nas, młodzieży pochodzącej z ziemi łódzkiej, z bardzo emocjonalnym apelem, abyśmy po zakończeniu studiów wracali do Łodzi, gdyż to miasto bardzo nas potrzebuje. Zapewniła, że władze pomogą adeptom nauki znaleźć odpowiednią pracę i mieszkanie. Jak na owe czasy, gdy uzyskanie przez młodego człowieka najskromniejszego dachu nad głową graniczyło z cudem, były to atrakcyjne zobowiązania. Kiedy słuchałem tych słów, powoli uświadamiałem sobie, że ja decyzję już podjąłem. Do Łodzi nie wrócę. Swoje dalsze losy zwiążę z innym miejscem na ziemi, które stało mi się bardzo bliskie. Pomyślałem nawet przez chwilę, że nie jestem fair wobec miasta, które umożliwiło mi ukończenie studiów i skierowało za granicę dla ich kontynuacji. Trudno, tego postanowienia nie zmienię.

W połowie 1957 roku przystąpiłem do pisania pracy. Mój rosyjski pozostawiał wówczas sporo do życzenia i stąd okres kilkunastu miesięcy, jaki temu poświęciłem, wspominam jako bardzo trudny. Jesienią kolejnego roku praca była skończona i skierowana do recenzentów. Mniej więcej w tym samym czasie zjawił się w Moskwie kolega ze studiów w Łodzi, który powiedział, że może mi pomóc w znalezieniu pracy w Warszawie. Kiedy wiosną przeczytałem list od innego znajomego, byłem już pewien, że los jest dla mnie łaskawy. Alek informował mnie, że we wrześniu wyjeżdża na placówkę zagraniczną i proponuje mi czasowe zamieszkanie u siebie w zamian za opiekę nad lokalem. Wtedy uwierzyłem, że moja droga do Warszawy dobiega szczęśliwego końca.

Do kraju z dyplomem kandydata nauk (czyli po polsku: z doktoratem) wróciłem w pierwszych dniach października 1959 roku. Warszawa stała się moim miastem już nie tylko w marzeniach. W czasie półwiecza mieszkałem w wielu tutejszych dzielnicach: na Starówce, Bielanych, Pradze Południe, Sadybie i wreszcie pięknym, coraz bardziej nowoczesnym Ursynowie. W tym mieście wychowaliśmy z żoną dwoje dzieci i doczekaliśmy się wnuków. Przeżyliśmy tu najpiękniejszy okres naszego życia rodzinnego i najciekawszy – zawodowego. W trakcie moich licznych podróży widziałem miejsca obiektywnie ładniejsze i cieplejsze niż nasza stolica, a jednak nigdy nie przyszła mi do głowy myśl, że dobrze byłoby zamieszkać tam na stałe. Piękne? Pewno tak, ale jednak obce.

Często, gdy późnym wieczorem wracałem z zagranicznej delegacji i stewardesa ogłaszała: „Proszę państwa! Wylądowaliśmy na lotnisku Okęcie w Warszawie”, a współpasażerowie z innych miast zaczęli nerwowo sprawdzać, czy zdążą na swoje ostatnie pociągi, czułem wielką radość, że już wkrótce będę witał się z bliskimi. I tak zostało do dziś. Kiedy wracamy z żoną z rzadkich teraz, najczęściej wakacyjnych wojaży i samolot kołuje po płycie lotniska, chciałoby się powiedzieć: „Witaj Warszavo!”. Jesteśmy już u siebie, w domu.

## PESTKI PALONE, PESTKI, PESTKI...

Po śmierci obojga rodziców, gdy miałem siedem lat, ze starszym o cztery lata bratem przenieśliśmy się z zadymionego Zagłębia do podwarszawskiej miejscowości. Tam pod opieką wujostwa, którzy stworzyli nam nowy dom rodzinny, wychowywani byliśmy w atmosferze wzajemnej miłości i empatii, nie tylko wobec najbliższych, ale i całego otaczającego nas świata. Zarówno w szkole, jak i w rodzinie wpajano w nas umiłowanie dla Kraju. Wyposażeni w takie przymioty, mogliśmy łatwiej przetrwać okropności wojny.

A my obaj z bratem potraktowani byliśmy przez los w sposób szczególnie okrutny. W ciągu niespełna trzech lat utraciliśmy rodziców i ledwie zdążyliśmy pogodzić się z tą stratą, straciliśmy nową rodzinę i jednocześnie umiłowaną Ojczyznę. Wuję aresztowano, a nas z ciotką wysiedlono na teren Generalnego Gubernatorstwa. Zamieszkaliśmy na warszawskim Marymoncie, przy ulicy Marii Kazimiery pod nr. 22. Ciotka miała się różnych zajęć, aby zarobić na utrzymanie. Ostatnie trudne dla naszej rodziny chwile, aresztowanie wuję, wysiedlenie, poróżnienie się z moim bratem, który wskutek tego odłączył się od nas i wyjechał do pracy na wieś, na tereny włączone do Rzeszy – wszystko to sprawiło, że w jej psychice zaszły procesy, które diametralnie odmieniły jej osobowość. Stała się nieufna i podejrzliwa niemal wobec wszystkich. W żadnej pracy nie zagrzała miejsca. W końcu wynajęła kryty stragan, czyli tak zwaną „budkę” na bazarze przy ulicy Potockiej. Pomagałem jej w handlu, ale wkrótce okazało się, że to dla mnie za ciężka praca. Podnosząc worek z kartoflami, przeciążyłem kręgosłup, ciotka musiała iść ze mną do lekarza. Ten nakrzyczał na nią, że zamiast posłać dzieciaka do szkoły, zaprzęga go do roboty, a to przecież jeszcze, jak się wyraził, „chudzina, w płucach coś mu chrobocze. Niech pani zrobi mu prześwietlenie płuc i pośle do szkoły”.

Ciotka, nie powiem, zmartwiła się i następnego dnia poszła ze mną na badania. Gabinet mieścił się nieopodal placu Wilsona, przy ulicy Mickiewicza. Po badaniu lekarka poprosiła ciotkę do sąsiedniego pokoju i ściszym głosem coś do niej mówiła, ale ja nic nie mogłem zrozumieć. Kiedy wyszliśmy, ciotka zaprowadziła mnie na plac Wilsona do cukierni i zamówiła grzybki z truflami. Moje ulubione, takie same jak te, które mama po wypłacie kupowała nam w Sosnowcu.

Nazajutrz zapisała mnie do szkoły przy ulicy Kaniowskiej. Po rozmowie wstępnej pani kierowniczką orzekła, że kwalifikuję się do klasy piątej, bo na razie są tylko trzy przedmioty: geografia gospodarcza, arytmetyka i język ojczysty. Z pewnością niebawem dojdzie język niemiecki. Do tej szkoły uczęszczałem chyba tylko pół roku. Ciotka znów miała problemy, zrezygnowała z budki na bazarze przy Potockiej i pojechała gdzieś w Polskę na handel. Jak przyjechała, to pobyla ze dwa, trzy dni i znów zniknęła na parę tygodni. Często nie miałem co jeść, zacząłem opuszczać zajęcia w szkole. Koledzy namawiali mnie, żebym dołączył do gazeciarzy, tłumacząc, że to wprawdzie nie jest żaden zarobek, ale jak się nie ma, co się lubi, i nie stać na smalec do chleba, to musi wystarczyć suchy chleb. Ten suchy chleb można polać esencją herbacianą, jeśli się ją ma, i posypać cukrem. To już coś. Jak się nie ma herbaty, bo przedwojenne zapasy się skończyły, to pozostaje niemiecka ersatz-tee pod postacią mięty. Jak kogo stać na cukier, to jeszcze jak cię mogę – takie żargonowe określenie dobrobytu. Ale jeśli nie, to jest sacharyna, tak piekielnie skoncentrowana słodkość, że kiedy się ją przedawkuje, to można gorzko pluć przez cały tydzień.

Szukałem jakiegoś zajęcia, żeby móc się samodzielnie utrzymać. Sprzedawanie gazet drukowanych przez Niemców było, według mnie, zajęciem niegodnym Polaka. Któregoś dnia u kolegi, który mieszkał przy ulicy Gdańskiej u zbiegu z Potocką, staliśmy na balkonie pierwszego piętra, zabawiając się w plucie na odległość. Kolega był znacznej tuszy, więc i objętość płuc miał większą. Ja zawsze byłem na straconej pozycji. Wtedy do naszych uszu dobiegł głos gazeciara. Wychylamy się i widzimy, jak środkiem Potockiej, sadząc długie kroki, prawie biegnąc, podąża gazeciara i krzyczy: „Nowy Kurier Warszawa...! Nowy Kurier Warszawski!”. „Hej! Ciulu! – krzyknął do niego mój kolega. – Głośniej nie możesz?”. Gazeciara zatrzymał się: „Czego francie balkonowy tak się nadymasz?”. W tym momencie jakiś przechodzień zawołał w jego kierunku: „Daj no tego skurwiela kuriera!”. Chłopak wyciąga spod pachy gazetę i schodząc z jezdni, znów woła: „Nowy Kurier Warszawa...! Nowy Kurier Warszawski!”. W tym momencie ja wychylam się przez balkon, krzycząc z całej siły: „Nowy Kurier Warszawski, zapinany na zatraski, a ludzie frajery, kupują papiery!”. Gazeciara zatrzymał się, zadarł głowę: „Kiego chu...! Cwelu!”. „A chcesz pluja?” – zawołaliśmy obaj z Antkiem jednocześnie i nie czekając na odpowiedź, zaczęliśmy strzelać śliną w gazeciara. Dopiero teraz zauważyliśmy faceta, który go wołał. „Dobra, chłopaki! Dobra! Plujecie pierwsza klasa! – podniósł jakiś kamyk, wyjął z kieszeni banknot i zawinawszy w niego ów kamyk, rzucił w naszą stronę na balkon. – Łapcie chłopaki, to jest prawdziwa kasa, a nie szwabska prasa!”.

Z Antkiem zaprzyjaźniłem się w szkole na Kaniowskiej. To on zaproponował mi, niezbyt intratne, co prawda, ale bardzo mnie pociągające zajęcie. Otóż jego starsze rodzeństwo zajmowało się na większą skalę obróbką termiczną pestek słonecznika. Obróbka polegała na suszeniu pestek w odpowiednio wysokiej temperaturze do momentu, aż zawarty w nich olej wydostawał się na zewnątrz, barwiąc ich powierzchnię na złocistobrazowy kolor. Tak spreparowaną pestkę z łatwością się rozluźniało, a zarówno smak, jak i aromat wydobytego z łuskwiny ziarna był znakomity i niepowtarzalny.

Miałem mieć udział ze sprzedaży pół na pół. Dla mnie była to prawdziwa manna z nieba. Wyposażony w specjalną walizeczkę, do której był przymocowany nakładany na szyję pasek w kształcie pętli, pojechałem na dworzec Warszawa Zachodnia, tam bowiem oczekiwało najwięcej podróżnych. Zarówno poczekalnia, jak i perony były zawsze zatłoczone. Oczywiście więcej miejsca niż sami pasażerowie zajmowały bagaże czy też – jak to się slangowo określało – toboły. Handel był bowiem w okupowanej Warszawie podstawowym źródłem utrzymania. A zatem zacząłem sprzedawać pestki, ale to nie było wszystko. Miałem ponoć niezwykle brzmienie głosu, przechodziłem właśnie mutację. Rodzeństwo Antka poradziło mi, abym zrobił z tego użytek, śpiewając podróżnym piosenki, tym bardziej że ponoć miałem wrodzony słuch muzyczny. Przeżywałem niezwykle tężę, kiedy po raz pierwszy zacząłem obchodzić poczekalnię dworca Warszawa Zachodnia i zachwalać wyuczonym tekstem swój towar: „Pestki palone, pestki, pestki! Jedna szklaneczka – złotóweczka! Pestki zdrowsze niż wódeczka! Kupujcie panowie, kupujcie panie, najpierw pesteczki, a potem śniadanie!”. Ludzie uśmiechali się i kupowali. Zwykle, kiedy opróżniła się walizeczka, nie wychodziłem z poczekalni, ponieważ podróżni pamiętali jeszcze moją twarz, więc mogli okazać się bardziej hojni. Kładłem wówczas na posadzce walizkę, na niej odwróconą cyklistówkę i zaczynałem śpiewać.

Pomysł okazał się trafny i w większości wypadków zysk ze śpiewania kilkakrotnie przebijał dochód ze sprzedaży pestek. Nie zawsze jednak moja sprawność duchowa i fizyczna pozwalały mi produkować się wokalnie. Byłem przecież jeszcze dzieckiem, wątłym, niedożywionym, niedospianym. Zawsze w biegu. Często, szczególnie w okresach na przelomie

zimy i wiosny oraz jesieni i zimy, miałem kłopoty z gardłem i wówczas o śpiewaniu mogłem tylko pomarzyć. Kiedy jednak już śpiewałem, zatracalem się całym sercem, całą duszą, w interpretacji zarówno linii melodycznej, jak i tekstu. Radzono mi, abym ze względu na własną, jeszcze dziecięcą wrażliwość, nie rozszerzał swego repertuaru, ale skupił się raczej na jednej lub najwyżej na dwóch piosenkach, w których każdy słuchacz odnajdzie głos własnej duszy i przyjmie je za swoje. Nie bardzo wówczas rozumiałem, o co chodzi, ale wiedziałem, że spełniałem się bez reszty tylko w jednym, utworze.

Jesień 1942 roku. Poczekalnia dworca kolejowego Warszawa Wschodnia wypełniona podróżnymi. Na zewnątrz mżawka, stąd tak tłoczno. Na Dworcu Zachodnim prowadzono jakieś prace remontowe, więc przyjechałem tutaj, chociaż bardzo niechętnie. Podświadomie nie lubiłem tego miejsca, ale kiedy nie ma innego wyjścia, to cóż? Miałem pełną walizkę pestek i bilet do Małkini. Zamierzałem sprzedać w pociągu te pestki, a było ich tym razem sporo. Wracając, mógłbym ze dwa razy zaśpiewać i już w myślach liczyłem, ile mam szansę tego dnia zarobić. Póki co, założyłem pas walizki na szyję i otworzywszy wieko z pojemnikiem na szklaneczkę, wciskałem się między toboły i podróżnych, jak zwykle wołając: „Pestki palone, pestki palone, pestki! Jedna szklaneczka – złotóweczka! Pestki zdrowsze niż wódeczka!”.

Niesamowite – zwijałem się jak w ukropie i nim wróciłem do punktu wyjścia, sprzedałem wszystkie pestki. Do odjazdu pociągu zostało jeszcze sporo czasu. „A może by tak zaśpiewać?” – w radosnym uniesieniu strzeliło mi do głowy. Wydostałem się z tłumu na środek poczekalni, zdjąłem czapkę i kładąc ją na posadzce, z wyciągniętymi w górę ramionami poprosiłem głośno o ciszę. Ku mojemu zdumieniu wrzawa umilkła. Powiedziałem: „Dziękuję” i zacząłem śpiewać.

W suterynie, niedaleko za miastem!

W suterynie, gdzie nędza i głód,

Nad maleńką kolebką niewiasta,

Małe dziecię tuliła do snu!

Małe dziecię wybladłe, wychudłe,

Widać było, pokarmu mu brak!

Ona pracą, padając, zmęczona

Tak jak zwykle, nuciła mu tak:

Śpij syneczku, śpij kochanie, mama pobiegnie po mleczko!

Przyniesie, nakarmi, utuli do snu,

A dobry Pan Bóg w Niebie da, że wychowam ciebie,

Aj luli, luli synku mój!

Lat dwadzieścia minęło spokojnie,

Syn jej wyrósł robotnik i zdrow!

A w warsztatach wciąż mówią o wojnie,

Na ulicach niepokój i ruch!

Kiedys wraca po pracy zmęczony,

Mówi: Mamo, ja idę na front!

A gdy zasnął, już wielce strudzony,

Tak jak zwykle, nuciła mu wciąż:

Śpij syneczku, śpij sokole, jutro wyruszasz na pole!  
Na krwawą walkę, na bój! A ja będę się modliła,  
Bym ciebie nie straciła, aj luli, luli synku mój!

Na podmiejskim cmentarzu za miastem,  
Gdzie rząd krzyży wyrósł jak las,  
Nad żołnierską mogiłą niewiasta  
Nuci do snu, ostatni już raz:

Śpij syneczku, śpij żołnierzu, polscy koledzy tu leżą!  
Będzie wam razem przyjemniej!  
Choć na grób ci krzyżyk dali, krzyż Virtuti Militari,  
To życie ci zabrali, aj luli, luli synku mój!

Kończąc ostatnią zwrotkę, zauważyłem, że przez otaczający mnie krąg podróżnych przeciska się jakiś niemiecki oficer, a za nim, mówiąc mu coś do ucha, żołnierz w dziwnej, z frędzelkami, furazerce na głowie. Wystraszyłem się, sądząc, że Niemcowi nie spodobała się moja piosenka. Kończąc w pośpiechu ostatnią zwrotkę, chwyciłem czapkę z pieniędzmi i chciałem uciec. Żołnierz w furazerce był jednak szybszy, chwycił mnie za rękę i zawołał: „Keine anks, junge! Nie bać niemiecka oficjer! Hern leutnant, bitten noch ein mal! Fersztejen du?”. Zdjąwszy furazerkę, podrapał się po głowie, jakby tam szukał odpowiedniego słowa. W końcu założył czapkę i uśmiechając się, zawołał: „Deine song, noch ein mall!”.

W końcu jakiś mężczyzna w kapeluszu podszedł do mnie i powiedział, że pan oficer prosi, abym zaśpiewał jeszcze raz, bo bardzo mu się podobała ta piosenka, ale jego asystent nie potrafił jej przetłumaczyć. „Nie bój się mały – poklepał mnie po plecach – śpiewaj jeszcze raz. Ja mu przetłumaczę”. Podszedł do oficera i coś mu powiedział. Niemiec skinął głową, zbliżył się do mnie i rzucił do czapki pięciomarkowy banknot. „Boże mój! – przemknęło mi przez głowę. – Za pięć marek mogę na bazarze dostać piętnaście złotych. Od biedy starczy mi na cały tydzień”. Tymczasem żołnierz w furazerce podchodził do podróżnych i sam klaszcząc, zachęcał wszystkich do klaskania. W końcu pan w kapeluszu podniósł rękę i powiedział: „Cisza! Mały, śpiewaj”. I zacząłem śpiewać, jak potrafiłem najlepiej. Wpadłem w trans – jakieś dziwne odczucia zawładnęły moim ciałem. Patrząc gdzieś w przestrzeń, ponad głowami podróżnych, nie śpiewałem dla nich ani dla siebie. Śpiewałem dla tych polskich żołnierzy spoczywających na podmiejskim cmentarzu za miastem. Śpiewałem dla Nich, na prośbę niemieckiego oficera, czego on nie był świadom, ale Oni to słyszeli i ziemia była im już lżejsza.

Kiedy kończyłem, wzruszyłem się przy ostatniej zwrotce i łzy ciekły mi po policzku. Poczekalnia drżała od oklasków. Kiedy ucichło, oficer niemiecki podszedł do mnie po raz drugi. Otworzył swoją raportówkę, wyjął z niej tabliczkę czekolady i położył na czapce z pieniędzmi. „Danke Junge!” – powiedział i odwróciwszy się, odszedł, a ludzie zaczęli klaskać. Jakiś chudy i wysoki mężczyzna zawołał: „Hej, mały! Zaśpiewaj: »Siekiera, motyka«”. Wtem z megafonu zabrzmiał głos: „Achtung, achtung! Den Personen zug, numa ein hundert zwanzig, fon Warschau West nach Scharfenwiese uber Malkinia, kom zu dem gleiss”. „Boże! – zawołałem. – To mój pociąg!”. Podniosłem moją czapkę z pieniędzmi, wrzuciłem ją do walizki i pobiegłem na peron.

## DOLINKA – 35 LAT W DOBRYM MIEJSCU

Patrę na bardzo poźólkłą karteczkę z 11 sierpnia 1976 roku, na której Dział Spraw Mieszkaniowych Spółdzielni Mieszkaniowej „Mokotów” informował nas, że w nieistniejącym już dziś Pawilonie Kultury przy al. Niepodległości 43 odbędzie się zebranie zasiedleniowe przyszłych lokatorów budynku nr 31 nad Dolinką. Teraz, kiedy minęło 35 lat od tamtego spotkania, kto z pierwszych mieszkańców Dolinki jeszcze przechowuje podobny dokument, gdy już nie należymy do tamtej Spółdzielni? Ja przechowalam, podobne jak przechowuję pamięć o pionierskich czasach „realnego zasiedlania się” w odległym wówczas Osiedlu Służew nad Dolinką. Może to sprawa daty, bo na tamtym zebraniu obchodziłam swoje urodziny, a może sentymentu do miejsca, w którym zamierzaliśmy szczęśliwie żyć? Prezent urodzinowy od losu, wymarzony adres, dobre życie i chyba potrzeba napisania o tym, jak zaczynaliśmy żyć w „naszym miejscu po lewej stronie Warszawy”, by pokochać wszystko dookoła.

W 1976 roku w sercu budującego się ogromnego Osiedla codzienne życie było dla młodych ludzi – takich jak my wówczas – wielkim wyzwaniem. Każdego dnia trzeba było pokonywać przeszkody i niedogodności, o których już się mało pamięta lub wręcz zapominało. Od wielu lat działa metro, mamy nowe ulice, jest sieć sklepów, domów handlowych, parkingów i tego wszystkiego, czego nie mieliśmy przez wiele lat tworzenia Dolinki. W tamtym roku, żeby dojechać do Śródmieścia, musieliśmy każdego dnia pokonywać pieszo czarną, brudną i niczym nieutwardzoną, z rowami po bokach, ulicę Wałbrzyską. Ulicę tylko z nazwy, bo tak naprawdę był to podstawowy szlak transportowy, po którym jeździły wielkie dźwigi i ciężarówki dowożące od rana do nocy materiały budowlane z pobliskiej Fabryki Domów na Służewcu. Ciężarówki sprawiały ciężarem swojej masy, że ulica zamieniała się we wszechobecne, grząskie błoto, gdy padał deszcz, lub unosiły się nad nią tumany kurzu, kiedy było sucho. Dziś – dla młodego pokolenia ludzi mieszkających na Osiedlu – to czysty surrealizm.

Obraz Dolinki bez metra, normalnych ulic, sklepów, przychodni zdrowia, poczty, szpitala, apteki (jednej jedynej apteki, a nie kilku, jak jest obecnie), bez kiosków z gazetami, bankomatów, banków, pubów, supermarketu i autobusów? Niemożliwe!

Nie było linii tramwajowej, bo jedyna miała pętlę dopiero na Dworcu Południowym. Niemożliwe? Trudno w to uwierzyć, gdy mamy 2011 rok. A przecież nie było nic, po prostu nic, poza nami – młodymi ludźmi, którzy zdecydowali się tu właśnie zamieszkać.

Wałbrzyska – nasza jedyna wówczas ulica – a przy niej szkoła pamiętająca czasy wsi Służew, cmentarz, klasztor oo. dominikanów i otaczający Osiedle mały strumyk, który nie wiadomo, gdzie się zaczynał i gdzie kończył. W pogodne dni my, mieszkańcy, mogliśmy spacerować po obrzeżach nieustającej budowy, by w pobliskich szuwarach dawać naszym dzieciom plenerowe lekcje biologii. Co prawda sielski obraz dzikiej przyrody zakłócał zapach dochodzący z owego strumyka, co tylko z nazwy był potokiem z przymiotnikiem „służewiecki”, a w rzeczywistości z czystą wodą nie miał nic wspólnego. Nazwa „Smródka” bardziej tu pasowała. Gdy potok po ciuchu smrodził, kilka metrów dalej wśród wielkich trzcin i bagiennych roślin można było oglądać dzikie ptactwo w ogromnej ilości. Perkozy, kaczki i kurki wodne na wolności pływały w przyszłym centrum Mokotowa, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Był to czas, w którym przy potoku stały resztki niskich domów, a gospodarstwa rolno-warzywnicze produkowały zdrową żywność, chociaż już życie z nich zaczęło uchodzić. Robiło to powoli i z wielkimi oporami, aż w końcu odeszło. Dekret Bieruta i inne restrykcyjne ustawy bezwzględnie zmieniały stary świat wsi Służew. Na żyznych polach – gdzie jeszcze w latach sześćdziesiątych rosła cebula i rabarbar zwany rumbą – teraz stanęły wielkie domy. Dawni mieszkańcy musieli ustąpić miejsca nowym blokom i nowym obywatelom. Może nawet tam zamieszkali, asymilując się do wielkopłytywowej rzeczywistości. Po latach tylko ulice: Cebulowa, Rabarbarowa czy też Pory i Rządkiwka przechowują w swoich nazwach ślady uprawianych na pobliskich gruntach roślin. Osiedlowe uliczki, po których dawni mieszkańcy czasem spacerują, jeszcze pachną dorodną rzodkiewką, porami, nacią pietruszki lub koperkiem z młodymi ziemniakami. Pachną, ale tylko w nocy, po cichu i tylko dla nich. A może dla siebie?

Nasze pokolenie, „pokolenie zasiedleńców ‘76 roku”, teraz już sześćdziesięciolatek, często z Bardzo Dużym Plusem przy numerze PESEL, doskonale pamięta, jak wówczas było, i widzi to, co jest teraz. Choć żyję w innym otoczeniu i jest mi lepiej w odnowionym budynku, obok domów wybudowanych zgodnie z nowoczesną technologią, to nadal mam wielki sentyment do „naszych miejsc”. Gdy mijam bardzo już dojrzałe (tak jak moje dzieci) przedszkole przy ulicy Sonaty 6a, słyszę tamtych przedszkolaków, jak się bawią na pustym placu, bo świeżo posadzone krzewy i drzewa dopiero podejmowały walkę o ukorzenie się na płytkiej, gliniastej glebie. Głina 1978 roku tylko cieniutką warstwą przykrywała ślady po niedawnej budowie, nie tylko w tym miejscu; żadne z nich w najmniejszym stopniu nie pretendowało do miana nieznanych wówczas „terenów rekreacyjnych”.

– Mamo, mamo, dziś bawilem się z kolegami w archeologa – słyszę głos mojego młodszego syna. – I co? – pytam. – Myślałem, że wykopałem z pagórka ogromne jajo dinozaura, a to był... żółty plastikowy nocnik! Koledzy się ze mnie śmiali, ale im się nie dałem – słyszę w odpowiedzi.

Mój syn ma 36 lat, a na jego dawnym placu zabaw stoją kolorowe plastikowe domki, zjeżdżalnie i liczne obiekty małej architektury. Obecni przedszkolacy nie mają dostępu do dawnych pagórków, pokrytych teraz zbyt bujną roślinnością. Trudno się tam dostać, nikt też nie szuka jaja dinozaura. On swoje odkrycie wspomina jednak ciepło, gdy przechodzi obok małego drewnianego obiektu osiedlowej infrastruktury. – Jakie małe to moje przedszkole, a właściwie baraczek – mówi czasem.

Mam już tyle lat, że spełniam warunki konkursu „Zakochani w Warszawie”. No i... potrafię nie tylko posługiwać się komputerem, czy wysyłać e-maile. Mam nadal nowoczesne spojrzenie na świat, żyjąc w bardzo dojrzałym już miejscu i otoczeniu. Nowoczesne myślenie nie pozwala zapomnieć, że moje dobre miejsce. Dolinka, jest też dobre dla młodych ludzi, skoro angażują się w ciekawe akcje tu, gdzie obok siebie mieszkamy.

„Nie masz ogrodu – masz balkon” – ulotka Stowarzyszenia Polskich Architektów Krajobrazu, zapraszając na spotkanie, informowała, że „Warszawa jest nadal w budowie”, że dość już leciwe budynki i balkony projektowane według dawnych pomysłów architektów mogą być inspiracją dla studentów. Przyjęłam zaproszenie. Podczas spotkania patrzyłam na bardzo

młodych ludzi, studentów drugiego roku, którzy prezentowali własne rozwiązania projektowe, tzw. kieszonkową aranżację. Zapał, zaangażowanie i ogromne pokłady energii plus pomysł, że można zrobić coś nowego na balkonie z lat siedemdziesiątych o miniaturowej powierzchni czterech metrów kwadratowych, spodobały mi się. Wizualizacja minigrodów, żywa woda w pojemnikach, miejsce rekreacji i wypoczynku, wspólna zabawa z dziećmi, gdy coraz mniej wolnej przestrzeni na zewnątrz! Wyobraźnia tylko w małym stopniu ograniczona powierzchnią. Wspaniała sprawa!

W 1976 roku my też tworzyliśmy nasz balkon i minigródek pod nim, bo mieliśmy szczęście, że mieszkając na parterze – tak wówczas niechętnie przyjmowanym – mogliśmy to zrobić. Młodszy od nas sąsiedzi często przychodzili o zupełnie niespodziewanych porach, by pożyczyć jedno jajko lub strunę do gitary, bo właśnie im pękła. Siadywaliśmy wieczorami w naszym salonie o niesamowitej wprost wielkości 15,5 metra kwadratowego, by recytować poezję mojego męża – członka grupy poetyckiej „Stajnia” – śpiewać harcerskie piosenki i rozmawiać „o problemach duszy ludzkiej”.

W rozslonecznionej Langwedocji  
księżna Luiza gra na lutni  
piękny ma bardzo widok z okna  
i oddanego ogrodnika  
na stole leżą pomarańcze  
a lustro wiernie kształt odbija  
świeże bukiety cieszą oko  
a w bibliotece ksiąg przybywa  
ogród ze smakiem się rozrasta  
wieczorem zawsze gra muzyka

księżna Luiza gra na lutni  
czas płynie bez żadnego smutku. \*/

O 22.00 obowiązkowo zapadała cisza, bo regulamin wywieszony na kłatkach schodowych oznaczał prawo. Prawo szanowania spokoju innych.

Ogródek pod balkonem ma nadal wielkość chusteczki. Trwa tyle lat, ile tu mieszkamy. Teraz jest sam przy bloku numer 31, ale był taki czas, gdy za zgodą prezesa ówczesnej Spółdzielni „Mokotów” urządziliśmy – lokatorzy sąsiadujących z sobą mieszkań parterowych – trzy ogródki. Bardzo szybko skrawek nieurodzajnej ziemi pod balkonem rozkwitł urodą sezonowych kwiatów, które najładniej wyglądały, gdy się patrzyło na nie z wyższych kondygnacji. Nawet się cieszyliśmy, że robiąc coś dla nas, tak naprawdę robiłam to dla innych, chociaż wielokrotnie usuwałam z ogródka różne wyrzucone rzeczy, które powinny się znaleźć w pojemnikach na śmieci. Z czasem lokatorzy przyzwyczaili się do naszej determinacji w dbaniu o kwiaty i już mniej spadało z ich balkonów „nieestetycznych przedmiotów”.

## JEDNA Z TAK JUŻ NIEWIELU...

Kiedy rozpoczęła się ta wojna, miałam 8 lat, 2 miesiące i 7 dni. Wiele zdarzeń zatarło się już w mojej pamięci, wielu nie dostrzegalam, wielu nie rozumiałam. Nie będzie to więc systematyczny opis przeżyć mojej rodziny – choć postaram się utrzymać chronologię – ale przedstawienie ich z perspektywy dziecka, a potem młodej dziewczyny.

Pierwszego września Mamy, mnie i moich młodszych siostr Teresy i Anki nie było w Warszawie. Zaraz po zakończeniu roku szkolnego Ojciec wywiózł nas do swej rodziny mieszkającej we wsi Gapinin (6 km od Poświętnego nad Pilicą). Nie wiedzieliśmy nic o Nim do czasu, gdy w jakiś sposób przysłał nam wiadomość, że wyszedł z Warszawy wraz z wieloma mężczyznami na czyjś rozkaz czy polecenie. Mama rozpaczała...

Chyba pod koniec września do chałupy, w której mieszkaliśmy, wszedł wychudzony, zarośnięty, brudny mężczyzna. Usiadł przy stole i ponuro milczał. Przestraszyliśmy się – byliśmy same, bo Mama gdzieś wyszła. Stanęłyśmy bardzo blisko siebie przy piecu i dopiero okrzyk Mamy: „Jezus Maria, Stachu!!!” uświadomił nam, że przelekaliśmy się Ojca. Tata powiedział, że nasz dom przy ulicy Łomżyńskiej spalił się od bomby i na razie nie możemy wrócić do Warszawy. Wkrótce pojechał sam, by podjąć pracę. Kiedy żaliliśmy się, że bardzo tęsknimy, Mama mówiła, że Tatuś musiał pojechać do pracy, żeby dostać kenkartę i „kartki”.

Rodzicom nie było łatwo. Tatuś został sam w Warszawie i po ciężkiej i niebezpiecznej pracy (pociągi wykolejały się na zakładanych przez partyzantów minach) musiał sobie jakoś radzić. Nie miał przy tym mieszkania. Przemieszkiwał więc na zmianę u rodziców Mamy (przy ulicy Zielnej), u Jej brata Gieńka (przy Siennej) lub swego młodszego brata Janka (w Międzyzlesiu). Czasem zatrzymywał się w noclegowni przy parowozowni na Pradze. Uważał jednak, że na wsi jest bezpieczniej i nie głodujemy.

Mama – która była córką młynarza – umiała piec tak wspaniałe chleb i placki (marchwiowe, buraczane i kartoflane), że gospodynie zapraszały ją do ich pieczenia, choć same robiły to bardzo dobrze. Po wypieku Mama dostawała ogromny bochen chleba, czasami z mlekiem lub śmietaną, a nawet z kawałkiem masła.

Najgorzej było z ubraniem. Zostałyśmy w letnich ubiorach i butach. Ratowała nas pomoc rodziny i sąsiadów. Wieś ubierała się w stroje opoczyńskie: wełniane kiecki i fartuchy tkane na domowych warsztatach w różnokolorowe pasy. Ze znoszonych już (ale jakże ciepłych!) kiecek, zapasek i fartuchów powstawały ubrania dla nas. Z obuwiem byliśmy na równej stopie z gospodarzami: wszyscy do pierwszych mrozów chodziliśmy boso.

Do Warszawy wróciliśmy przed Bożym Narodzeniem 1941 roku. Ojcu wreszcie udało się wynająć mieszkanie. Był to tylko pokój bez wygod przy ulicy Elbląskiej. Oprócz ciasnoty i spartańskich warunków życia w tym mieszkaniu dręczyło nas usytuowanie domu: naprzeciwko znajdowała się „Limanowa” – fabryka lub składnica benzyny. Po drugiej stronie było szerokie pasmo pola, za którym biegły szyny kolejowe, a za nimi mieściła się „sanitarka” niemiecka; dalej był już fort Bema.

A był to okres nalotów. Wieczorem każda z nas składała na swym krześle ubranie w takiej kolejności, w jakiej należało je zakładać – światła nie wolno było zapalać! Kiedy Tatuś nie był w nocy na służbie, czułyśmy się jakoś bezpieczniej. Była jednak i druga strona medalu. Ojciec kazał nam wychodzić z domu i kłaść się na polu w sporej odległości od siebie. Latem lub jesienią

kryłyśmy się tak w zbożu lub kartoflach. Mnie przerażało to przebywanie w czasie nalotu na otwartej przestrzeni. Nie wiem, czy było tak rzeczywiście, czy wydawało mi się, że w górze tkwiły duże świecące kule podobne do księżycy...

Przeprowadzka do Warszawy odbyła się w okolicznościach tragicomicznych. Mieliśmy niewiele dobytku, ale były to rzeczy niezbędne i Ojciec obmyślał, jak zorganizować bezpieczny przewóz. Z pomocą przyszła „rodzina kolejarska”. Koledzy Ojca umieścili nas w przedziale, na ławkach rozłożono pościel, a my rozebrani nakryliśmy się pierzynami. Przedział zamknięto, a na jego drzwiach zawieszono ostemplowaną kartkę: „Uwaga! Tyfus. Nie wchodzić!”. Niemcy podobno bardzo bali się tyfusu – a jednak któryś kazał otworzyć przedział. Kiedy zobaczył nas okrytych po nosy pierzynami, zaklął i szybko się wycofał. Nie pamiętam już, jak dotarliśmy do domu. Chyba znowu z wydatną pomocą kolejarskiej braci.

Warszawa szmugłowała. Szmugłowała i Mama, bo „trzeba było jeść”. Kiedyś z Ojcem pojechała ciuchcią do Nowego Miasta i wieźli worek kartofli. Niemcy zatrzymali pociąg i wyrzucili na peron wszystkie bagaże. Zrozpaczona Mama postanowiła wyjść z wagonu i wyprosić od „szkopów” swój worek. Ojciec na próżno ją wstrzymywał. Niemiec, do którego się zwróciła, rozumiał i mówił już trochę po polsku. Mama swoją prośbę poparła argumentem: „przecież mąż dla nich pracuje”. – To pani karmi męża kartoflami? – A czym mam karmić?! – krzyknęła rozszalona już Mama. Niemiec wskazał jakiś worek na stosie i wrzasnął: „Weg! Schnell!”. Mama worek wydostała, ale ciągnąc go, bardzo się bała, że Niemiec strzeli. Kolacja była niezwykle smakowita. W worku były wiejskie wędliny, ser, masło i warzywa...

Szkoła była aż na Żoliborzu i musiałyśmy do niej docierać pieszo. Lubiliśmy tam chodzić, ale bałyśmy się, bo Niemcy urządzali naloty na lekcje w poszukiwaniu śladów nielegalnego nauczania. Mieli swoje racje. Nie wolno było uczyć ani historii, ani geografii Polski. W naszej szkole przedmiotów tych nauczano na lekcjach robót ręcznych i rysunków. Rozkładaliśmy na ławkach robótki lub zeszyty do rysunków, a nauczycielka opowiadała i odpytywała. Nie wolno było niczego zapisywać ani przynosić „trefnych” książek. Kiedy było wiadomo, że Niemcy są w szkole, nauczycielka surowo pytała, czy ktoś ma takie materiały. W każdej klasie były kaflowe piece...

Bardzo lubiłam czytać. Trudno było zdobywać książki, więc czytałam to, co mi wpadło w ręce. Złitowała się nade mną moja dorosła już kuzynka Basia Dudek. Poleciała mi przyjść do swego domu przy ulicy Zielnej i ze sporej biblioteki wyjęła grubą książkę: „Pana Tadeusza”.

– Lucyna, będziesz ode mnie dostawała książki, ale musisz bardzo uważać po drodze. Jeśli zauważysz coś niepokojącego, wyrzucaj je!

– Książki?!

– A może chcesz, żeby nas wszystkich wywieźli do Oświęcimia?

Wystarczyło...

Tego lata nie wyjechaliśmy na wakacje. Zresztą nie tylko my. Nasi koledzy, moje siostry i ja biegaliśmy po podwórku całymi dniami albo wystawaliśmy na pobliskich ulicach. A było na co patrzeć! Ciągnęły nimi długie szeregi Niemców – brudnych, zarośniętych, wycieńczonych i tak apatycznych, że nie reagowali nie tylko na mściwe spojrzenia i pomruki dorosłych przechodniów, ale nawet na nasze głośnie (wydawane głównie przez Wieśka, Maćka i Teresę) okrzyki: „Hitler kaput!”.

Nie pamiętam, jaki był ranek 1 sierpnia. Ale narastało napięcie... Następowало jakieś wyciszenie: przez pobliskie ulice ciągnęły kolumny niemieckiego wojska, chyba kilka dni wcześniej zamknięto zakłady pracy, lokatorzy izolowali się w swych mieszkaniach. A zarazem

plynął jakiś utajony nurt krzątania się, pospiesznego, ostrożnego wchodzenia do domów i wychodzenia z nich, niezwracania uwagi na to, czym żyliśmy dotychczas. Wiesiek i Maciek gdzieś znikli. Podwórko opustoszało. Ojca nie było w domu. Poszedł na Pragę, odebrać zegar z naprawy. Długo nie wracał. Kiedy nie przyszedł nawet na obiad, Mama zaczęła się coraz bardziej denerwować. W końcu podała jedzenie tylko nam. I wtedy wszedł Ojciec, który zaczął się usprawiedliwiać, mówiąc, że w mieście panuje jakaś gorączkowa atmosfera, jest duży ruch, a przechodnie bardzo się spieszą.

– Miałem szczęście – powiedział. – Chyba przeszedłem z ostatnią grupą przez most, bo Niemcy go już zamykali.

Odetchnęliśmy z ulgą, ale nie trwało to długo. W gruzach (ciągnęły się niemal od naszego domu prawie do kościoła Wszystkich Świętych) rozległy się strzały.

– Znowu rozstrzeliwują... – westchnęła Mama.

W bramie nagle pojawili się dwaj młodzi ludzie. Krzyknęli: „Powstanie!”. I wtedy zobaczyłam na ich rękawach biało-czerwone opaski... Mieszkańcy domu wybiegli na podwórko. Zaczęto radośnie krzyczeć i płakać. Zgromadziliśmy się przed figurką Matki Boskiej (kapliczki były niemal na każdym warszawskim podwórku) i zaczęliśmy żarliwie śpiewać: „Boże, coś Polskę”.

Pierwsze dni Powstania na naszym terenie były względnie spokojne, a przy tym pełne uniesień, radości i nadziei. Żyliśmy właściwie normalnie, wzmogła się sąsiedzka solidarność. Kiedy powstańcy zgłosili potrzebę zbudowania w poprzek Pańskiej barykady, z entuzjazmem znosiliśmy wszystko, co mogło być przydatne; żołnierze mówili, że najważniejsze są poduszki i pierzyny, bo w nich grzęzną kule. Może żartowali?

Ale w końcu musieliśmy na stałe zejść do piwnic. Zaczęły się ciężkie naloty i częste ostrzeliwania. Chyba najbardziej bałam się „krowy”, którą nazywano też „szafa” – przelot pocisków poprzedzały odgłosy jakby ryku zwierzęcia lub przesuwania ciężkiego mebla. A pociski niszczyły wszystko nawet po drodze do celu. Kiedyś Tatuś nie zdążył do piwnicy. Stał w zabudowanej bramie i z całych sił trzymał się jej klamki. Kiedy opadł kurz, zobaczył, że stoi na gruzach z klamką w ręku...

Nawet w tym czasie przerażenia i bardzo ciężkiego koczowania w piwnicach były chwile pełne pogody i humoru. Mężczyźni, narażając życie, szukali pożywienia w rozbitych sklepach i magazynach. Pewnego dnia przydźwigali kilka skrzynek lemoniady (gazowanej wody z sacharyną i jakimś substytutem soku). Uradzono, że ważniejsze od picia jest umycie głów. Oszczędnie, starannie i z dużym wysiłkiem dokonaliśmy tego. I wtedy na nasze mokre włosy posypał się gruz i kurz. Zaczął się kolejny nalot, a my... wybuchliśmy huraganowym śmiechem.

Mama została ciężko ranna w nogę odłamkiem bomby. Na szczęście kość była stosunkowo mało naruszona. Ojciec – przy pomocy sąsiadów, z ciągłym narażaniem życia – nosił Ją na Mariańską. Ranę dezynfekowano benzyną.

Zasypało nas chyba pod koniec pierwszej połowy sierpnia. Strop piwnic nie wytrzymał kolejnego nalotu. Mieliśmy nikłą nadzieję na wydostanie się spod gruzów, dotarliśmy jednak do piwnicznego – wąskiego i niskiego – okienka. Zaczęliśmy poszerzać je, odwalając gruzy. I udało się! My, dzieci, przecisnęliśmy się z ogromnym trudem. Ojciec usilnie starał się wypchnąć ranną i będącą już w piątym miesiącu ciąży Mamę. I choć była w bardzo złym stanie, to dzięki ocalałym sąsiadom, którzy już się wydostali na zewnątrz, wydobyli Ją.

Następne schronienie znaleźliśmy w jednym z korytarzy rozległego (choć już bardzo zageszczzonego) podpiwniczenia ośmiopiętrowego domu, stojącego na zbiegu ulic Zielnej i

Wielkiej. Mieszkali tam rodzice Mamy i Jej kuzyn – Andrzej Dudek – z żoną Franią i dziećmi: Basią i Wojtkiem. Łóżko Mamy postawiono pod najmocniejszą ścianą, my w czasie ostrzału i bombardowań przemieszczaliśmy się zależnie od sytuacji. Nasz dom i jego najbliższy teren ochrzczono mianem „rogu śmierci”, bo znajdował się on niemal naprzeciw PAST-y, w której toczyły się ciągle walki. W czasie jednej z tych akcji został raniony odłamkiem – pozornie niegroźnie – wujek Andrzej. I niespodziewanie, po kilku dniach, umarł. Było coraz trudniej. Nękały nas brak wody i głód. Wodę zdobywano i noszono pod ostrzałem, atakami „krowy” i bombardowaniem; najczęściej pobierano ją z licznych studzienek podwórkowych. Zaczęto zjadać, swoje lub cudze, koty i psy. Kiedyś nasza najmłodsza siostra Hanusia poprosiła: „Tatusiu, daj mi chociaż kawałek psiny”.

Przez rozległe korytarze piwnic przechodziło bardzo wielu ludzi – uciekających ze zburzonych domów powstańców. Tereskę chyba zdziwiło częste przekazywanie informacji o kierunku wyjścia; stanęła pośrodku naszego (centralnego) korytarza i wymachując jedenastoletnimi rękoma, wskazywała droge: „Marszałkowska!”, „Królewska!”, „Bagno!”. Kiedyś często przechodzący tędy powstańcy, nie zauważywszy jej, z niepokojem wykrzyknęli: „A gdzie Tereska?!?”.

Któregoś wrześniego południa z naszego byłego podwórka rozległ się czyjś histeryczny krzyk: „Wychodźcie! Wychodźcie! Wychodźcie!!!”. Takiego wezwania nie lekceważono – ruszyliśmy do schodów. I nagle usłyszeliśmy narastający nie warkot, ale ryk wielu samolotów. Słoneczne niebo zasłoniły opadające (wydawało mi się, że różnokolorowe) spadochrony. Niemcy nie strzelali, dopiero po chwili nastąpiła wściekła kanonada. My oszaleliśmy z radości: śmialiśmy się i płakali.

Oprzytomnieliśmy na dźwięk wrzaskliwego rechotu sąsiadujących z nami Niemców: oni też zostali obdarowani! Potem okazało się, że na teren naszego domu spadły dwie skrzynie z cukrem i konserwami oraz jedna z bronią; do Niemców trafiła amunicja. Mama powiedziała: „I po co to było? Po co było?”. Inni dyskutowali o niecelowości zrzutu w mieście, w którym toczą się walki uliczne.

W korytarzu prostopadłym do naszego urodziło się dziecko. Nie można go było wykapać, więc kobiety wytarły je zwilżonymi szmatkami. Starano się jak najbardziej pomagać matce. Dzielono się z nią jedzeniem. Ale ona na próżno starała się karmić piersią – i nieustannie płakała... Pogarszał się nastrój w piwnicach. Byliśmy już bardzo wygłodzeni, spragnieni, zastraszająco brudni. Traciliśmy też nadzieję na przeżycie. Niewiele mówiono o tym na głos, ale atmosfera stawała się coraz cięższa. Przechodzących powstańców odprowadzało ponure milczenie, a oni szli z opuszczonymi głowami.

Do wujenki Frani niekiedy wpadały jej dzieci: Basia walcząca w AK i Wojtek – w Batalionach Chłopskich. Kiedy się spotykali, po chwili radości zaczynali się zaciekle klócić. Basia uważała Powstanie za chwalebny patriotyczny czyn, Wojtek – za nieodpowiedzialną decyzję.

– To czemu nie siedzisz w piwnicy, tylko idziesz na barykadę?! – krzyczała Basia.

– Bo jestem Polakiem i porządnym człowiekiem! – odwrzaskiwał Wojtek.

Wujenka płakała: – Dzieci, dzieci, tyle nieszczęścia, a wy się tak klóćcie...

Ale były i lepsze chwile. Od połowy września, kiedy nad Warszawę nadlatywały sztukasy, zza Wisły odzywały się zenitówki. Ich ostrzał był niemal natychmiastowy i chyba tak skuteczny, że naloty prawie ustały. Bardzo to nam ulżyło. Pojawiły się też kukuruźniki, nazywane terkotkami

lub jazgotkami. Latały nisko. Kiedyś wydawało mi się, że zobaczyłam tułów pilota. Dorośli mówili, że taki przelot jest bezpieczniejszy niż na dużych wysokościach. Słyszac nadlatującą terkotkę, wybiegaliśmy i pokazywali miejsce zrzutu. Pojemniki z żywością, lekarstwami, bronią i ulotkami spadały prawie do naszych rąk.

Zaczęły się pojawiać pogłoski, a potem informacje prasowe i radiowe o przygotowaniach do kapitulacji. No i decyzja o niej nadeszła. Moimi pierwszymi uczuciami były ogromny żal i niepokój. Podobnie tę wiadomość przeżywali i inni mieszkańcy piwnic naszego domu – niemal wszyscy płakali, niektórzy ze złością klęli, a kobiety jęczały: „Boże... Boże...” i „Co teraz z nami będzie?”.

Basia wpadła pożegnać się z Matką. I kategorycznie oznajmiła Wojtkowi, który przyszedł trochę wcześniej):

– Mój dowódca zgodził się, żebyś poszedł z naszym oddziałem. Poświadczymy, że byłeś z nami od początku, tylko zgubiłeś legitymację.

– Bez łaski! Idę z ludnością cywilną – odpowiedział jej brat.

Przygotowywaliśmy się do opuszczenia piwnic. Ojciec wystarał się o rower, na którym chciał wieźć Mamę. Wujenkę poprosił, żeby każdemu z nas wszyła do rękawa „górala”, a dzieciom dodatkowo świadectwa szkolne, na odwrocie których napisał: „Ciocia Szarugowa, Poświętne nad Pilicą, pow. Opoczno”.

– Gdyby nas rozdzielili, musicie starać się tam dojść. Tam się spotkamy – powiedział.

Ale przenieśliśmy się tylko do będącego w nie najgorszym stanie domu (chyba jakiejś małej fabryki) na Złotej. Ojciec z rodziną i jego dwaj znajomi chcieli się tam ukryć. Wyszliśmy jednak z grupą „maruderów” – chyba 5 października – bo mężczyźni zauważyli, że do opuszczonych już piwnic Niemcy wrzucają granaty, a domy podpalają miotaczami ognia.

Szliśmy po gruzach w kierunku Grójeckiej. W pewnym momencie potknęłam się, ale na szczęście nie upadłam. Spojrzałam pod nogi i z przerażeniem zauważyłam, że poślizgnęłam się na rozkładającej się ręce... W pewnych odstępach stali obserwujący nas Niemcy. W jakiejś chwili Tereska w ślad za innymi dziećmi wbiegła na pole, nie zważając na nasze okrzyki. Przyniosła dwie marchewki.

Doszliśmy do Dworca Zachodniego. Tam wtłoczono nas do wagonów towarowych. Nie wiedzieliśmy nic o celu podróży. Pociąg zatrzymał się w Pruszkowie, poprowadzono nas do olbrzymiej hali; z rozmów otaczających nas ludzi dowiedzieliśmy się, że to kolejowy zakład naprawczy. Hala była bardzo wysoka, podłoga wybetonowana, ale nierówna z płytkimi kałużami wody. Było tam już niewiele miejsca, musieliśmy rozdzielić się z wujenką i Wojtkiem. Obok nas ciągle przechodzili ludzie szukający swoich bliskich, wykrzykiwano nazwiska i adresy.

Nazajutrz Niemcy nadali komunikat, że kolejarze i tramwajarze, którzy zgłoszą się do ich punktu, zostaną skierowani do Rzeszy wraz z rodzinami. Poszliśmy tam. Ochotników selekcionowała para: Niemka i jej kolega. Kiedy doszliśmy do nich, Niemka popchnęła Ojca na prawą stronę, a do nas krzyknęła: „Weg!”. Zaczęliśmy rozpaczliwie płakać. Rower przewrócił się, a Mama, leżąc na ziemi, obejmowała nogi kobiety i błagała ją... Wtedy ów Niemiec też krzyknął: „Weg!”, ale ten nakaz był skierowany do Ojca. Tatuś szybko przeszedł do nas, a ja zdumiona spojrzałam na Niemca i zobaczyłam w jego oczach łzy... Powlekliśmy się do hali. Nienawidziałam

„szwabów”. I nie umiałam sobie z tym wydarzeniem poradzić: to znaczy, że u nich też są normalni ludzie?

Niemcy zaczęli opróżniać obóz. Z opowiadań ludzi, którym udało się to dostrzec, dowiedzieliśmy się, że w czasie przemarszu wylapują młodych, w średnim wieku i nieokaleczonych ludzi. Ojciec obwiązał głowę bandażem przesiąkniętym krwią z rany Mamy; 17-letni Wojtek usiłował ucharakteryzować się na dziecko. Ruszyliśmy ósemkami (a może czwórkami – nie pamiętam) między gęsto rozstawionymi po obu stronach drogi Niemcami z dużymi psami na smyczach. Usłyszeliśmy: „Komm!”, skierowane do Ojca. I niemal w tym samym momencie Babcia upadła. Niemcy spojrzeli w tamtą stronę, a potem szybko podeszli do niej – powstał chwilowy tumult. Ojcu jakimś cudem udało się przesunąć do przodu...

– Dziecko, jak mogłaś mnie tak popchnąć? – zapytała potem Tereskę Babcia.

– A chciałabyś, Babciu, żeby Niemcy zabrali nam Tatusia?

Załadowano nas do odkrytych wagonów towarowych. Było tam bardzo ciasno: siedzieć stale na podłodze mogli tylko ranni, inni zamieniali się miejscami ze stojącymi. Nie mieliśmy jedzenia, wody ani możliwości przyzwoitego załatwiania potrzeb naturalnych. Nie wiedzieliśmy, dokąd i w jakim celu nas wiozą. W dodatku co jakiś czas nad naszymi wagonami pikowały samoloty. Doszliśmy wprawdzie do wniosku, że tylko nas straszą, ale pewności nie było...

Pociąg zatrzymał się i kazano nam wychodzić. Było ciemno. Szliśmy przez jakieś miasteczko. Doprowadzono nas na rynek. A tam... przy słabym oświetleniu zobaczyliśmy wielkie kotły (umieszczone chyba na jakichś paleniskach), z których stojący obok ludzie zaczęli wydawać gorący krupnik. Z mięsem! Nie pamiętam, kto poinformował nas, że jesteśmy w Skawinie i wkrótce przyjadą furmanki, które rozwiozą nas do gospodarzy w pobliskich wioskach. Nie byliśmy w stanie w to uwierzyć. Nasz gospodarz nie jechał z nami na furmance. Oświetlając drogę dużą latarnią, szedł koło koni i trzymał ich uzdy. Babcia, wujenka i Wojtek trafili na inną furmankę, ale do tej samej wsi (niestety, zapomniałam jej nazwy). Gospodyni w jednej z izb rozłożyła nam grube, wypchane słomą sienniki. Zwaliliśmy się na nie prawie bez sił.

Wieś miała zapewnić warszawiakom mieszkanie i jedzenie; z pobliskiej mleczarni przynosiliśmy zagwarantowane przez RGO mleko. Byliśmy niemal szczęśliwi: mieliśmy chleb i wodę, nie leciały bomby. Gospodarze nie byli bogaci, ale żywili nas wystarczająco dobrze, a my nie byliśmy wybredni. Ojciec wypruwał z naszych rękawów „górali” i płacił. Ale pieniądze się skończyły. I skończył się spokój. Gospodarz – a zwłaszcza jego dzieci – zaczął odnosić się do nas wrogo. Zmniejszono nam porcje jedzenia, krzyczano, że za dużo drwa palimy w piecyku, obwiniano niemal o wszystko, co złego wydarzyło się w domu lub w obejściu. Ojciec postanowił wyjechać (nie wiem, czy było to legalne, czy musiał mieć jakąś przepustkę) i poszukać schronienia u kogoś ze swej rodziny.

Nazajutrz po wyjeździe Ojca gospodarze przenieśli nas do przybudówki. Tu było jeszcze gorzej: znacznie mniejsza powierzchnia, a przez ściany z pojedynczych desek i nieszczelne małe okienko wpadało dużo zimna. I zdarzyło się coś, co spowodowało moje przerażenie, a potem wstyd i żal, z którego długo nie mogłam się otrząsnąć. Mama nabierała wodę, a ja stałam obok, przy oblodzonej studni, żeby pomóc Jej tę wodę zanieść. Na podwórko wszedł jakiś Niemiec. Spojrzał na nas, zabrał wiadro, a potem gestami zapytał, gdzie je postawić. Wszedł do przybudówki, a za chwilę wybiegł i wpadł do domu gospodarza. Stałyśmy na podwórku

przeżalone. Niemiec wypchnął gospodarza i wyciągnął zza pasa broń. Mama nie mogła wymówić słowa... Wpadła między nich i rozłożyła ręce. Niemiec schował pistolet i zaczął wrzeszczeć na gospodarza, żeby przeniósł nas do domu. Po kilku godzinach przyszedł to sprawdzić. Gospodarze już nie krzyčili. Ale nie poprawiło to w niczym naszego położenia. Nadal odnosili się do nas wrogo i atmosfera była tak ciężka, że nie mogliśmy się doczekać powrotu Ojca. Przyjechał po kilkunastu dniach z wiadomością, że załatwił nasze przeniesienie się do Glinic (koło Przytyka), gdzie mieszkała jego kuzynka. Wynajęła nam izbę u sąsiadów.

„Ciocia Franka” i nasza nowa gospodyni pani Zosia użalały się nad nami i bardzo nas dopieszczały. I tak szczęśliwie doczekaliśmy wyzwolenia. Po gwałtownej, ale krótkiej strzelaninie pod Glinicami przez wieś zaczęły przechodzić oddziały radzieckiego wojska. Żołnierze byli niedbale umundurowani i źle obuci, ale przede wszystkim – ogromnie zmęczeni. W czasie ich niedługiego postępu pani Zosia i Mama gotowały dla nich kartoflane kluski. Żołnierze zachłannie i z wdzięcznością jedli te gorące przysmaki. Od nich dowiedzieliśmy się, że Warszawa „już swobodna”! Wkrótce Ojciec znów poszedł do Warszawy. Poszedł, bo tak odbywała się ta wędrówka, dość często jednak urozmaicana przygodnymi „podwózkami”, które pozwalały nieco odpocząć.

Mama urodziła naszą czwartą siostrzyczkę. Dziecko żyło jednak tylko dziesięć dni. Pocieszano nas, że może i dobrze, bo nie wiadomo, „jaki by ono było”. Ale Mama na przemian albo bardzo płakała, albo była zobojętniała na wszystko. Dwa dni po śmierci Elżuni wrócił Ojciec i samotnie (bo zima była bardzo mroźna i śnieżna), w drewnianym pudełku prowizorycznie pochował ją na cmentarzu we Wrzeszczowie.

Ojciec znów wrócił do Warszawy. Podjął pracę (od kilku lat był już maszynistą kolejowym), zaczął remontować mieszkanie po znajomych (zabitych w czasie Powstania...) na Polnej. W kwietniu wybrał się do Ministerstwa Komunikacji na Pragę. Nie zastał właściwego urzędnika, ale sekretarka powiedziała, że niedługo on wróci. Ojciec, zmęczony i zniecierpliwiony, bo wkrótce zaczynał służbę, czekał... Z zamyślenia wyrwał go radosny okrzyk:

– Stachu, ty żyjesz?!

– I ty żyjesz?! – z „logiką” właściwą ówczesnym warszawiakom wykrzyknął Ojciec. Przed nim stał Jego zmiennik na parowozie. Kiedy ochłonęli, krótko opowiedzieli sobie o swych powstańczych losach i Ojciec, zapytany, po co tu przyszedł, powiedział o swojej prośbie i sytuacji rodzinnej.

– Chodź do mnie – odparł kolega.

Kiedy przechodzili do jego pokoju, sekretarka powiedziała:

– Panie ministrze...

Ojciec stanął jak wryty!

Już w pokoju wiceminister zapytał:

– Gdzie chcesz się przenieść? Może do Krakowa?

– Za daleko od Warszawy...

– To chyba do Łodzi – zdecydował pan Olewiński.

I tak znaleźliśmy się na „przedmieściu Warszawy”... Mieszkanie – bez łazienki i z piecami, ale za to trzypokojowe – znajdowało się w starej „studni” przy ulicy Żeromskiego 13. To w tym mieszkaniu po raz pierwszy zobaczyłam płaczącego Ojca. Przez radio (ten jego typ nazywano kolchoźnikiem) nadawano jakiś koncert piosenek. Śpiewał Mieczysław Fogg. I przy „Piosence o mojej Warszawie” Ojcu nie udało się stłumić łkania... Po chwili płakaliśmy wszyscy.

Już we wrześniu w mojej szkole powstała drużyna harcerska „Warszawa”, jej zastępy nosiły nazwy dzielnic Warszawy. Utworzenie „Warszawy” wspomagał Aleksander Kamiński, działający w Chorągwi Łódzkiej. Żona druha Kamińskiego uczyła w „siódemce” (moją klasę także) historii, a córka Ewa (pseudonim harcerski „Brzdąc”) była moją zastępową w „Starówce”. Żyliśmy już normalnie i miałyśmy wiele powodów a do młodzieńczej radości: pasjonujące gawędy druha Kamińskiego na wieczornicach, ciekawe zbiórki, wycieczki i obozy harcerskie. Byłam na trzech – razem z Teresą, którą drużyna przygarnęła do zastępu „Mokotów”. Śpiewaliśmy przy każdej okazji! Były to piosenki harcerskie, ale najczęściej powstańcze i partyzanckie.

Odnajdywanie bliskich przynosiło rezultaty. Zaczęły się też powroty. Z Mauthausen wracał stryjek Janek, z robót przymusowych w Rzeszy – wujek Mietek; ciocia Ola z dziećmi (wujka Stanisława zamordowano w Mauthausen, podobno dwa dni przed wyzwoleniem obozu) na kilka miesięcy przyjechała do nas do Łodzi.

Przed wakacjami roku 1951 zgłosiłam się do łódzkiej instancji Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, z prośbą o przyjęcie do brygady odbudowującej Warszawę. Nie potraktowano mnie tam zbyt życzliwie; dano do zrozumienia, że „panienki z liceum” nie potrafią pracować fizycznie. Próbę zniechęcenia mnie przezwyciężyłam argumentem: „Jestem warszawianką!”. Moja brygada mieszkała na polu namiotowym w parku Traugutta. O ósmej wychodziliśmy do pracy „na odcinkach”. Największą część tych wakacji spędziłam przy „dopieszczaniu” Trasy W-Z (zakładaliśmy tam trawniki); inne zadania to oczyszczanie z gruzów terenów, do których nie docierały koparki, i lżejsze prace pomocnicze przy odbudowie Rynku Starego Miasta oraz porządkowaniu na cmentarzach grobów ofiar wojennych. Warszawiacy okazywali nam dużo życzliwości: witali nas serdecznymi okrzykami (choć czasem padały i wrogiel!), przystawali na chodnikach. Pewnego dnia, gdy maszerując, śpiewaliśmy, przy słowach: „Tobie kochana Warszawo, za domem wzniesiemy dom!”, grupa przechodniów stanęła i zaczęła bić brawo. Podniosłyśmy wysoko łopaty! („Wy to mieliście dobrze!” – powiedział kiedyś mój wnuk Jasiek).

We wrześniu 1952 roku zdałam egzamin na Uniwersytet Warszawski; dostałam miejsce w Domu Akademickim „Dziekanka” i stypendium. Było to dla nas bardzo ważne, bo Ojciec pracował sam na pięcioosobową rodzinę. Odwiedzali mnie tam Rodzice, najczęściej Ojciec – kiedy miał trasę do Warszawy. Kiedyś podczas przyjazdu Mamy zaproponowałam Jej spacer do mojego miejsca urodzenia. Gdy stanęłyśmy przy Krzywym Kole 6, powiedziała: „Córeńko, ale to nie TA Warszawa...”.

Na moim roku był warszawiak, Jurek, już mieszkający w stolicy. Chłopak bardzo inteligentny, z olbrzymim poczuciem humoru i urokiem „warszawskiego cwaniaka”. Zwrócił moją uwagę już na początku roku akademickiego. Jechaliśmy trolejbusem całą naszą grupą studencką. Kiedy docieraliśmy do przystanku, Jurek zaczął przeciskać się do wyjścia.

– Przepuść, chamie, dziewczyny! – krzyknął któryś z kolegów. Jurek roześmiał się, popukał w czoło, zeskoczył ze stopni i podał mi rękę.

Kiedyś, później, zaprosił mnie do restauracji. Zdziwiłam się – studenci tam nie bywali. Poszliśmy na Pragę, do „Wisły”. Sala była niemal pusta – tylko przy zsuniętych stolikach siedziała spora grupa chłopaków. Po naszym wejściu na chwilę umilkli. Zamówiliśmy jakiś skromny obiad. Jurek spokojnie jadł, a ja – rozczarowana – zastanawiałam się, dlaczego tu przyszliśmy; wolałabym pospacerować. Zagrała orkiestra, a od stołu „tamtych” zbliżył się do nas chłopak; „siurnął” przede mną nogą i poprosił do tańca. Gdy już wstawałam, Jurek niemal popchnął mnie na krzesło.

– Ona nie pójdzie tańczyć!

– Coś ty powiedział?!

– Ona nie pójdzie tańczyć – spokojnie wycedził Jurek. Grupa kolegów naszego rozmówcy zaczęła wstawać, a potem powoli iść w naszą stronę. Zdrętwiałam! I wtedy Jurek rzucił taką „wielopiętrową wiązanke”, że spuchły mi uszy. A twarze chłopaków zaczęły się rozjaśniać.

– Ty, brachu, co strugasz? Skąd jesteś?

– Z Ząbkowskiej!

– A ty?

– Spod PAST-y – wyjąkałam.

– Mówilem, że swoi! – krzyknął któryś.

Zagarnęli nas do swojego stołu. Po chwili stanęła na nim butelka wódki, a przede mną spory kieliszek. Spojrzałam przestraszona na Jurka. „Pij!” – powiedział cicho, ale bardzo stanowczo.

Potem była już normalka: małżeństwo, dyplom, praca, dziecko, dom. Tylko w tym domu żyło się coraz ciężiej... Mama Jurka i on mieszkali w 12-metrowej dozorówce bez wygod; był tylko prąd i dopływ zimnej wody do jednokomorowego zlewu oraz węglowa kuchnia (zajmująca sporo miejsca), którą ogrzewaliśmy mieszkanie – w dzień było tam 30 stopni ciepła, a nocą już bardzo zimno. Do tej izby wchodziło się wprost z klatki schodowej. Kiedy w październiku 1958 roku urodził się Darek, polowe łóżko Mamy na dzień składaliśmy i umieszczaliśmy na szafie.

Każda kolejna komisja mieszkaniowa przyznawała nam pierwszeństwo w przydziale mieszkania. Tylko... Najpierw wyprowadzano ludzi z suterren i strychów. Ponadto wielu przybyszów do Warszawy chciało już w niej zamieszkać, a na ogół byli to ludzie zapobiegliwi i przedsiębiorczy; prawo do mieszkania motywowali „niezbędnością w pracy”. I dostawali najczęściej początkowo miejsca w hotelach robotniczych lub różnych domach pracowników danej instytucji – metrażowo skromne, ale z wygodami – a potem kwaterunkowe mieszkania. My musieliśmy czekać, bo mieliśmy dach nad głową. Coraz ciężiej było żyć... Obawialiśmy się o zdrowie już 66-letniej Mamy i prawie 4-letniego Darka. Ale nikt z nas nie chciał opuszczać Warszawy.

Chyba pod koniec 1961 roku wyszło jakieś rządowe czy stołeczne postanowienie o polepszeniu warunków mieszkaniowych pracownikom tzw. frontu kulturalnego. Pracowałam

wtedy w Instytucie Wydawniczym „Nasza Księgarnia” i mogłam ubiegać się o członkostwo w – nielicznych jeszcze wtedy – spółdzielniach mieszkaniowych. Kierowniczka mojej redakcji, reszta członków dyrekcji i tzw. czynniki społeczne gorąco mnie popierali. Otrzymałam możliwość zapisu do Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych”.

Ale trzeba było wpłacić ogromny jak na nasze możliwości wkład do spółdzielni. Dokładnej kwoty już nie pamiętam, było to chyba ponad 30 tysięcy. Z mojego Instytutu i zakładu pracy Jurka otrzymaliśmy 16 500 zł bezzwrotnej pożyczki. Rodzice ofiarowali nam 3 tysiące, ale na resztę wpłaty zaciągnęliśmy pożyczkę u dalszej rodziny i przyjaciół. Podjęłam dodatkową pracę nauczycielki w przyzakładowej szkole przy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „Grochów” – miejscu pracy Jurka. W październiku 1962 roku wprowadziliśmy się do dwupokojowego M-4 przy ulicy Darłowskiej 7. Byliśmy w rajach...

Żyliśmy prędko. Dlatego Darek nie poznał znacznej większości tych wspomnień. Ale kiedy niedawno wiozł mnie do przychodni i przecinaliśmy Rybną, westchnęłam:

– Wiesz, chciałabym jednak tu mieszkać...

– Bo tu jest kawałek starej Warszawy – powiedział.

Gdy podrosły wnuki – Jasiek i Pawełek – zaczęłam (najczęściej przy rodzinnych obiadach) opowiadać o niektórych z tych zdarzeń. Joanka (synowa) słuchała z zainteresowaniem, a Jasiek kiedyś wykrzyknął:

– Ja kocham Warszawę!

– Ja też! – gorąco zawtórował mu Pawełek.

Piąte (jeśli nie jeszcze dalsze) pokolenie warszawiaków zakochanych w swoim mieście... I propozycja, a nawet apel do władz miasta: aby tych tak już niewielu – bez nadawania im jakichkolwiek przywilejów! – uznać za Weteranów Powstania Warszawskiego lub uhonorować innymi wyróżnieniami adekwatnymi do ich postaw i losów.